

Piotr Sztompka

Przestrzeń życia codziennego¹

Tekst, który państwu przedstawiam, jest bardzo osobisty i ważny z tego powodu, że to coś w rodzaju mojego credo teoretycznego. Doszedłem do niego w obecnym etapie mojego myślenia o socjologii, przechodząc zresztą wcześniej inne koleje, o czym też wspomnę dwa słowa. Spróbuję pokazać, że w historii socjologii mamy trzy etapy. Etap pierwszy jest znaczący takimi nazwiskami jak Auguste Comte czy Herbert Spencer w XIX w., a Talcott Parsons w XX w. To okres, w którym ten podstawowy dla każdego socjologa problem ontologiczny – pytanie, czym jest społeczeństwo, był rozstrzygany przez wskazanie metafory organicznej. Społeczeństwo to organizm, a Parsons powie – system społeczny, czyli całość zróżnicowanych elementów, ściśle ze sobą zintegrowanych i powiązanych. Całość ta ma własne cechy, prawa funkcjonowania, a także własne tendencje, czy nawet prawidłowości rozwoju, historię.

Druga socjologia powstaje przede wszystkim po przełomie postpozytywistycznym, dokonanym przez Maksa Webera. U podstaw tego widzenia społeczeństwa pojawia się co prawda nie dosłownie wyartykułowana, ale *implicite* założona metafora z nauk przyrodniczych, z fizyki: atom. Poszukiwanie tej najmniejszej jednostki życia społecznego, którą dla Maksa Webera i wielu późniejszych autorów jest działanie, działanie ludzkie, działanie społeczne, jednostka działająca. Ów słynny *social actor*, tak niefortunnie tłumaczony na język polski jako aktor, co ma oczywiście kompletnie inny sens.

Uniwersytet Jagielloński.

¹ Tekst został zaprezentowany 21 stycznia 2009 r. na Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie – w ramach seminarium „Dobre rządzenie”. Niniejszy materiał wzbogacono o wypowiedzi i komentarze zaproszonych gości, w tym koreferentów, którymi byli profesor Mirosława Marody i profesor Janusz Czapiński z Uniwersytetu Warszawskiego.

Trzecia socjologia to ta, która moim zdaniem rozwijała się coraz mocniej w ostatnich dziesięcioleciach XX w. i – mam wrażenie – zaczyna obecnie dominować w myśleniu socjologicznym. Nazywam to socjologią trzecią z tego chronologicznego powodu, co nie oznacza bynajmniej, że tamte dwie poprzednie zniknęły, przestały mieć znaczenie. Wszystkie istnieją w dzisiejszym krajobrazie socjologii, wszystkie są ważne. Myślę, że wszystkie są godne uwagi, ale dla mnie najciekawsza jest owa socjologia trzecia, która stawia ontologiczne akcenty na to, co nie było do końca uwzględnione przez socjologię pierwszą i drugą. O ile pierwsza mówi o całości, a druga mówi o elementach, o tyle trzecia mówi o relacji między składnikami społeczeństwa, mówiąc językiem prostym – o więziach społecznych, o rozmaitych formach relacji międzyludzkich. I jeśli tak popatrzymy na socjologię, to pojawia się możliwość trzeciej metafory: przestrzeni międzyludzkiej. Można też zdefiniować na nowo, inaczej, czym jest „społeczeństwo”. Nie organizmem, nie po prostu sumą składników, czyli działań pojedynczych, ale tym wszystkim, co się dzieje w przestrzeni międzyludzkiej. „Dzieje się” – to bardzo istotne: „dzieje się” to znaczy nieustannie się zmienia, to znaczy w każdej dziedzinie życia społecznego ulega przemianom, transformacji czy, jak lubię to określać – „stawaniu się”. Ta przestrzeń międzyludzka, zarówno w wymiarze jednostkowym mikro, jak i wymiarze wielkich struktur, nieustannie ulega przemianom, transformacji, no i stąd ta właśnie skrótowa definicja, że społeczeństwo to przestrzeń międzyludzka, wszystko, co się w niej dzieje: przestrzeń albo pole społeczne w procesie stawania się.

Pominę erudycyjne elementy, wskazujące na to kto, kiedy, jak tego rodzaju akcent stawia i kto jest poniekąd prekursorem tej orientacji, tej socjologii trzeciej, natomiast chciałbym się zająć

bardziej analitycznie paroma elementami tego punktu widzenia. Cóż zatem oznacza to pojęcie przestrzeni międzyludzkiej, które zresztą pożyczam od Stanisława Jerzego Leca? W jednym ze swoich aforyzmów pyta on: „kiedy to człowiek pokona przestrzeń międzyludzką?”. Było to w czasach podboju kosmosu, różnych spektakularnych wypraw, a Lec pytał o tę przestrzeń chyba dla człowieka jednak najważniejszą. Co oznacza ta metafora, jakby ją jednak rozebrać na elementy? Oznacza ona, że ludzie zawsze żyją i działają w otoczeniu innych, w jakiś relacjach z innymi, od urodzenia do śmierci otaczają nas inni. Jesteśmy z innymi albo razem, albo obok, albo przeciw, albo w walce, w konflikcie, w kooperacji, w miłości, w nienawiści itd. Jak pisze Józef Tischner: „Żyjemy zawsze z kimś, przy kimś, obok kogoś, wobec kogoś, dla kogoś”. Tutaj nie tylko chodzi o ludzi *de facto* obecnych wokół, chodzi o tych, których pamiętamy, albo których sobie wyobrażamy, prowadzimy przecież, jak to Margaret Archer określa, nieustanną konwersacją wewnętrzną z tymi, którzy dla nas są jako istotni. Wyobrażamy ich sobie, wyobrażamy, co by o nas pomyśleli, rozmawiamy z nimi w rozmaity wewnętrznym sposób.

Ta przestrzeń, jak już mówiłem, nieustannie się zmienia, wciąż jest w procesie stawania się. Wszelkie całości społeczne, o których mówimy tyle w socjologii: od grup poczynając, a na społeczeństwie globalnym kończąc, istnieją tylko do tąd i tylko o tyle, o ile jacyś ludzie ze sobą pozostają w relacjach. Oczywiście ta przestrzeń ma bardzo różne rozmiary: od małej grupy aż po społeczeństwo globalne. Czym wobec tego jest jednostka w tym ujęciu? Odpowiedź na to pytanie najtrudniej zaakceptować, ponieważ wynika z niej, że jednostka pod każdym względem to jedynie drobinka w tej sieci międzyludzkich relacji. We wszystkim, co ludzkie w niej, poza tym, co biologiczne, określane przez Zbigniewa Herberta dość pogardliwie jako „worek z rozmaitymi gnijącymi tkankami”, otóż poza tą biologiczną indywidualnością wszystko inne, w myśl tej koncepcji, jest proveniencji społecznej, bierze się z tych właśnie relacji. Mówiąc takim sloganem, „jesteśmy tym, kogośmy w życiu spotkali”, tylko węzłem w tej zmieniającej się nieustannie sieci ludzkich relacji.

Warto tutaj, jeśli chodzi o klasyków, sięgnąć do Georga Simmla. Właśnie on może najlepiej zaczął formułować taką perspektywę w socjologii klasycznej. Otóż ta perspektywa przewyżcza z jednej strony to złudzenie reifikacji, że istnieją jakieś byty społeczne gdzieś ponad nami, gdzieś obok nas, od których my jakby zależymy do końca, jesteśmy przez nie zdeterminowani, z drugiej strony również złudzenie egocentryzmu, że jesteśmy pępkiem świata, najważniejsi, jedyni, że wszystko właściwie wokół nas się obraca. Te dwa złudzenia taka perspektywa obala.

Twierdząc dalej, że z rozwojem czy z coraz większą karierą socjologii trzeciej wiąże się również kariera socjologii życia codziennego, mianowicie bardzo wielu socjologów zwróciło uwagę na najbardziej elementarne sytuacje międzyludzkie i tutaj szuka klucza do zrozumienia społeczeństwa. Socjologia życia codziennego nie oznacza, że my chcemy zapomnieć o ważnych sprawach, które socjologię zawsze interesowały. Oznacza tylko, że szukamy nowego okna, nowego punktu widzenia na te wielkie sprawy i ich odzwierciedlenia w codziennym życiu. Nie mówimy o globalizacji tylko w kategoriach jakichś wielkich abstrakcyjnych ekonomicznych i społecznych procesów, ale w perspektywie naszej codziennej egzystencji. Globalizacja tu, w Krakowie, za ścianą, na Rynku, tu w naszym domu.

Chciałbym trochę więcej powiedzieć o anatomii tej przestrzeni międzyludzkiej. Najpierw spostrzeżenia będące dla specjalistów powtórzeniem elementarza, ale dlatego ważnym, że może wskazującym na wielką różnorodność tych typów relacji, odnajdywanych przez nas w przestrzeni międzyludzkiej. Od najprostszych kontaktów społecznych, w których jedynie mamy do czynienia ze współobecnością przestrzenną i właściwie niewiele więcej, przez oczywiście klasyczny koncept interakcji społecznych, działań wzajemnie orientowanych, stosunki społeczne, a więc działania wzajemnie orientowane, ale i normatywnie uregulowane już w wyraźny sposób kulturowo, prawnie, moralnie itd. Aż do więzi społecznej, w której dochodzi jeszcze element emocjonalny, osobiste zaangażowanie, trwałość tych stosunków czy interakcji. Więzy rozmaitego rodzaju były zawsze ważnym tematem socjologii. Ale jest jeszcze inny, wyższy, ważny, bardziej skomplikowany szczebel w tej przestrzeni,

mianowicie tożsamość. Tożsamość społeczna, to znaczy definiowanie siebie przez ów zaimek osobowy „my”, będący dla socjologa najważniejszym zaimkiem w języku. Definiowanie „my”, ale i definiowanie tej przeciwnej strony, to znaczy jakichś „innych”. I wreszcie dzisiaj w świecie pojawia się coraz więcej ciągle mało zbadanych relacji, nazywanych przeze mnie wirtualnymi, to znaczy tych wszystkich, które wiążą się z najnowocześniejszymi technikami, te, w których ludzie wchodzą w relacje bardzo anonimowe, na ogromny dystans, jak np. przez internet, które mają zupełnie nowe właściwości, a socjologia dopiero zaczyna te relacje badać. Do takich wirtualnych należą także relacje wyobrażone, nawiązywane z ludźmi, z którymi nigdy nie zetknęliśmy się naprawdę, ale pojawiają się w naszych domach na ekranach na przykład telewizora. Ja nie miałem zaszczytu spotkać pana profesora Czapińskiego, ale się poznaliśmy od razu, jakbyśmy byli znajomymi, prawda? A widywałem go tylko w telewizji. Ta wirtualna relacja między nami jakoś istniała dzięki pewnym technologiom. To szalenie ciekawe zjawisko, przyszłościowe, niewątpliwie godne uwagi socjologii.

Dlaczego przestrzeń międzyludzka jest dla nas ważna? Przede wszystkim dlatego, że nigdy w innej nie istniejemy. Od urodzenia do śmierci znajdujemy się w przestrzeni innych ludzi. Drugi podstawowy fakt egzystencjalny to to, że inni są nam nieustannie potrzebni, nieustannie niezbędni do zrealizowania siebie, naszych wszelkich potrzeb, po prostu do stania się w pełni ludźmi. Nie dzieje się to autonomicznie, tylko właśnie dzięki owej przestrzeni. Ten fragment przestrzeni międzyludzkiej dla nas najbardziej istotny to coś w rodzaju prywatnego świata, który jest dla każdego wyjątkowy, tak jak linie papilarne. Mamy zupełnie unikalny świat tych innych, którzy dla nas byli, są, będą ważni, istotni. Rozmawiamy z nimi naprawdę albo pośrednio, albo nawet wirtualnie wyobrażamy sobie ich jako ważnych. I ta nasza prywatna przestrzeń to coś w rodzaju naszego kodu genetycznego, nasz własny społeczny kod, bardzo szczególny i sprawiający, że każdy jest inny, że każdy ma relacje z kimś innym, bowiem od tego kodu zależą dwie rzeczy: właśnie nasza tożsamość społeczna, owo poczucie i granice naszego „my” – dla każdego inne, a także nasza osobowość. Wkraczam tu nie

na swój teren, ale wydaje mi się, że to, co określamy jako osobowość, jest zawsze wzięte ze świata, który nas otacza. Ten nasz prywatny świat społeczny zmienia się nieustannie i tu angielski socjolog Ray Pahl wprowadza bardzo ładne pojęcie, znów metaforyczne, „korowód społeczny”. Podobną intuicję miał prawdopodobnie Leszek Aleksander Moczulski w swoim wspaniałym poetyckim tekście śpiewanym przez Marka Grechutę. Otóż „korowód społeczny” ciągle się zmienia – od kolegów szkolnych, od rodziny, a potem w życiu studenckim, a później w życiu dorosłym, jedni dochodzą, jedni odchodzą, jedni umierają, drudzy nawiązują z nami przyjaźń. Nieustanna zmienność tego korowodu społecznego to stała i szalenie istotna cecha przestrzeni międzyludzkiej. Powtórzę w końcu ten slogan: „jesteśmy tym, kogośmy w życiu spotkali”.

Oczywiście przestrzeń oznacza też i dystans. Każdy z nas ma ten świat „innych”, z którymi nam nie po drodze, których byśmy nie chcieli jako członków tej naszej, pozytywnie wartościowanej, przestrzeni międzyludzkiej. I tutaj proponuję skalę odmienności. Wyróżniam w niej cztery elementy – coraz to większej odległości i dystansu. Do „wrogów” mamy oczywiście dystans największy i bardzo mocne postawy w stosunku do nich, a nawet podejmujemy działania niszczące. Dalej znajdują się „obcy”, czyli ci, których trudno nam jakoś znieść i akceptować, ale nie są to już wrogowie. Trzeci stopień to są „odmieńcy”, są inni od nas, ale mamy do nich stosunek pobłażliwy, nie przeszkadzamy im w działaniu w ich własny sposób, ale nie naśladujemy ich i nie szukamy w nich jakichś wartości. No i wreszcie to, co nazywam „sąsiedztwem”. Sąsiad to ktoś inny od nas, ale taki, od którego możemy się czegoś dowiedzieć, nauczyć, pożytyc narzędzia do ogródka, cukier do herbaty, jak zabraknie, w każdym razie ktoś, kogo inność jest wartością. O tym pisał pięknie Ryszard Kapuściński w swojej malutkiej, ostatniej książeczce *Inny*, gdzie wkroczył na tereny już filozoficzne. Polecam państwu tę lekturę.

Otóż to, że przestrzeń międzyludzka jest dla nas tak istotna, stało się podstawą myślenia i rozwoju tego kierunku czy tej szkoły socjologii, która postawiła na pojęcie kapitału społecznego. Pojęcie kapitału społecznego stanowi odpowiedź na pytanie, jakie funkcje ma przestrzeń międzyludzka,

jakie cele w naszym życiu zaspokaja. Oczywiście pojęcie kapitału ma te wszystkie konotacje, które państwo na Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie znają najlepiej, to znaczy m.in. to, że sam przynosi korzyść, zysk i się sam powiększa. Dzięki temu, że mamy wielu przyjaciół, mamy szansę mieć jeszcze więcej, a dlatego, że każdy z nich ma z kolei swoich, wiążemy te coraz szersze sieci społeczne. Ale dlaczego kapitał społeczny, czy to w ujęciu Pierre'a Bourdieu, czy to w ujęciu Jamesa Colemana, trochę różnych oczywiście, ma dla nas tak duże znaczenie? Dlaczego kapitał społeczny jest w myśl tej koncepcji podstawowym kapitałem dla człowieka? Przede wszystkim dlatego, że, jak każdy chyba sobie zdaje sprawę, posiadanie kapitału społecznego czyni życie najzwyczajniej szczęśliwszym. Z kilku powodów: daje poczucie bezpieczeństwa egzystencjalnego, dostarcza poczucia zakorzenienia, pozwala zaspokoić uniwersalną ludzką potrzebę rozmowy – mamy z kim pogadać. Można zauważyć, że z kolei daje to nam – kapitał społeczny – szansę audytorium, do którego możemy się zwracać, przekazać jakieś nasze własne przemyślenia, prezentować samego siebie, jakby powiedział Erving Goffman. Wreszcie, jakby stwierdził Charles Cooley, „inni są nam potrzebni jako lustro”. Naszą fizjonomię i to Herbertowskie „mięso” można zobaczyć w lustrze prawdziwym, natomiast siebie jako osobowość, jako to, czym jesteśmy, jaka jest nasza tożsamość – to możemy zobaczyć tylko w oczach innych ludzi, w rozmowach z nimi, w tym, jak oni nas cenią albo nie, akceptują lub odrzucają, a więc po prostu potrzebujemy tego lustra jakby z natury naszej ludzkiej istoty.

Oczywiście poza tym są te wszystkie korzyści instrumentalne, o których bardzo wiele piszą ekonomiści i socjologowie. Wynikają one z możliwości uzyskania pomocy, uzyskania innych środków materialnych, pominię to, bo to są rzeczy bardzo znane, ale kapitalną ilustracją tego zjawiska są badania Jamesa Colemana nad społecznością tradycyjnych, ortodoksyjnych Żydów w Nowym Jorku, którzy opanowali tam handel diamentami. No i badania Colemana pokazały, jak ogromne znaczenie dla ich konkurencyjności, tego, że nikt ich nie może przebić w tym handlu, jest właśnie uniknięcie kosztów transakcyjnych wynikających z braku dobrej prze-

strzeni międzyludzkiej wypełnionej więzią zaufania, wzajemnej solidarności, wzajemności. W tej społeczności występuje poczucie, że wiele można załatwić na uścisk ręki, nawet sprawy, które innym zabierają mnóstwo czasu i pieniędzy na notariuszy, na spisywanie umów, na litygację, na procesy sądowe itd. Otóż to są te korzyści rzecz prosta instrumentalne. Jeszcze o innych korzyściach można mówić w skali całej zbiorowości. Na przykład o pojęciu morale w armii czy o pojęciu *team-spirit* w drużynie sportowej. Każdy kibic – czy to piłki nożnej, czy siatkówki – wie, jak ogromne znaczenie mają dobre relacje. Najlepsi mistrzowie zebrani razem bez owych relacji, wrzuceni w jedną drużynę nie wygrają meczu. A nawet gorsi zawodnicy, pod warunkiem istnienia tej bardzo silnej więzi, solidarności i wzajemnego poczucia jakiejś misji, jakichś wspólnych ideałów, właśnie mecze wygrywają.

Spróbuję na koniec te rozważania natury ogólnej, bardzo teoretycznej, odnieść do przestrzeni międzyludzkiej naszych czasów, to znaczy podjąć próbę diagnozy, co się dzieje z przestrzenią międzyludzką w świecie. Rzecz prosta, najważniejszą cechą współczesnego świata jest, mówiąc najogólniej, niebywała zmienność. Niebywale przyspieszona zmienność. Tutaj inna jeszcze metafora – Anthony'ego Giddensa o rydwanie społecznym, który gdzieś pędzi, ciągnięty przez nieznanne konie w kierunku nieznanym i nieopisanym przez teoretyków, czy to ekonomii, czy to socjologii, czy jakichkolwiek innych. Otóż ta zmienność społeczna może mieć różną skalę, ale akurat w naszym kraju tak się składa, że żyjemy w wyjątkowo szybko pędzącym rydwanie, bo jesteśmy na skrzyżowaniu czterech procesów społecznych o ogromnej skali. Po pierwsze, procesu globalizacji, który przecież nas też ogarnia, po drugie, procesu integracji europejskiej, mającego zupełnie inny wymiar, inny przebieg niż globalizacja, mieszanie go oczywiście z globalizacją jest błędem, trzeci z tych wielkich procesów to nasz własny, ale także naszego otoczenia geograficznego, proces transformacji systemowej, wielkiej zmiany reżimu, no i wreszcie wielka zmiana pokoleniowa, niebywale przyspieszona. Zawsze oczywiście rodzice myśleli inaczej niż dzieci, ale dziś ta szybkość zmiany, kompetencji technologicznych, sposobów myślenia, kształtów wyobraźni jest nieporównywalnie szybsza niż kie-

dykolwiek w przeszłości. I te wielkie cztery procesy mają swój wpływ na kształt przestrzeni międzyludzkiej w naszych czasach.

Ten wpływ – to teza ostatniej części mojego referatu – jest ambiwalentny. Należy tu wprowadzić wartościowanie. Nie możemy o tym powiedzieć bez jakichś wartości i te tezy, które znajdują państwo w moim referacie, są też wyrazem jakichś wartości. Bo ja po stronie pozytywów, na przykład globalizacji, wskazuję na niezwykle poszerzenie tej przestrzeni międzyludzkiej, kontaktów, interakcji, tego, że jesteśmy w stanie dzięki technologicznym urządzeniom nawiązywać kontakty ponad przestrzenią, ponad czasem, w sytuacji zupełnie oderwanej od przestrzeni. Byłem niedawno na nartach, jadę sobie gdzieś i ktoś nagle dzwoni do mnie na telefon komórkowy, nie wiedząc, gdzie jestem, bo chce załatwić jakąś sprawę formalną. My już komunikujemy się bez normalnych reguł, które dawniej wiązały się z telefonowaniem do domu, do biura, zasad, że o tej godzinie można, o innej nie można. To już kompletnie zanikło. Mówię o jednym tylko fragmencie tej wielkiej technologicznej zmiany, poszerzającej ogromnie naszą przestrzeń społeczną.

Druga pozytywna sprawa to brak jakichkolwiek ograniczeń możliwości komunikacji. Jak byłem pierwszy raz w Ameryce, to list lotniczy szedł cztery tygodnie do Polski, więc w osiem tygodni byłem w stanie z moją rodziną wymienić jakąś informację. Nie muszę mówić, w jak innym świecie dzisiaj żyjemy. Po trzecie, zintensyfikowała się ludzka mobilność w tej przestrzeni, spotykamy przecież ludzi z bardzo różnych części świata, dotyczy to nie tylko emigracji, ale też podróży, turystyki itd. To są rzeczy niezwykle pozytywne. Z tym poszerzeniem idą jednak w parze, dla mnie przynajmniej, koszty. Mianowicie zubożenie tych relacji, siłą rzeczy, jakościowe, zastąpienie więzi intymnej, więzi wielotematycznej, więzią bardzo wycinkową, profesjonalną, tylko w konkretnej sprawie. Poza tym upośrednienie tej więzi. Nic nie zastąpi kontaktu twarzą w twarz. To nie tylko moje odczucie. Biologowie i specjaliści od nauk poznawczych, w szczególności biologii mózgu mówią, że tak jest rzeczywiście. Opowiadał mi ktoś o eksperymencie, który polegał na tym, że fale różne mózgowo badano w dwóch sytuacjach, gdy ludzie

się porozumiewają nawet przez ekran telewizyjny, przez Skype'a, widząc się za ich pośrednictwem i wtedy, gdy mówią sobie prosto w oczy. Prądy mózgowo są absolutnie inne. Obraz z różnych skanerów pokazuje, że jest tu fundamentalna różnica. Właśnie zubożenie tej sfery wydaje mi się ceną. Osłabienie emocjonalności kontaktów, skrócenie horyzontu czasowego relacji, często zwiększenie liczby relacji przelotnych, dla jakiejś sprawy, dla załatwienia czegoś, nawet w wymiarze rodzinnym.

Jakie są koszty i zyski integracji europejskiej? Zysk to świat bez granic, wzbogacenie tożsamości przez wyłanianie się nowego poziomu, który bynajmniej nie musi konkurować z tymi innymi poziomami, czyli poziomem tożsamości europejskiej, gdzie wcale nie trzeba zapomnieć, że się jest Polakiem, Francuzem czy Islandczykiem, ale można uzupełnić to o jakiś cenny nowy wymiar tożsamościowy. Ale są oczywiście minusy, znane i polegające na rezygnacji z pewnych elementów suwerenności, rezygnacji z poczucia patriotycznego przywiązania tylko do swojej ziemi. Wreszcie proces transformacji postkomunistycznej. Przyniosła ona świat, w którym dzisiaj żyjemy, dzięki 20 latom transformacji, świat inny i lepszy. Ale jest także to, o czym pisał Jozef Tischner, gdy wspominał o trudnym darze wolności. Dar ten w wymiarze mentalnym, w wymiarze przyzwyczajajeń, życiowej rutyny, rozmaitych innych cienkich, subtelnych elementów życia społecznego, sprawia kłopoty. Staramy się analizować je w kategoriach traumy postkomunistycznej, która jest oczywiście ceną tych sukcesów i ogromnej przemiany otaczającego nas świata.

Zamykam ten referat bardzo krótkim przesłaniem, mianowicie takim, że mamy różne kryteria postępu społecznego, służące do mierzenia wartości społeczeństw. Spotykamy je zarówno historycznie, w różnych teoriach postępu historycznego, jak i obecnie, kiedy mówimy, które społeczeństwo jest jak gdyby wyżej, a które niżej. Różne są kryteria, od produktu narodowego na głowę, przez nasycenie lodówkami czy telewizorami, ale dla mnie najważniejsze kryterium to właśnie stan owej przestrzeni międzyludzkiej. Mówiąc najkrócej, stan tej solidarności społecznej, lojalności wzajemnej obywatelskiej, stan społeczeństwa obywatelskiego. To jest kryterium

najistotniejsze – dobre umeblowanie przestrzeni międzyludzkiej winno być dla polityka podstawową sprawą. I muszę powiedzieć, że kiedy wczoraj oglądałem przez pięć godzin z zapartym tchem inaugurację Baracka Obamy, to zazdrościłem Amerykanom. Nieraz zazdrościć Amerykanom różnych rzeczy, ale tej najbardziej: że to jest społeczeństwo, które ma bardzo mocną przestrzeń międzyludzką. Od czasów pionierskich ma to społeczeństwo obywatelskie. Potrafi ono mobilizować się nie tylko w wielkich momentach, lecz także na co dzień, w tych mozolnych codziennych różnych działaniach i przedsięwzięciach. Nie patrzy ono w górę, że coś załatwi rząd, tylko bierze się do roboty samo, o ile znajdzie charyzmatycznego przywódcę, o ile znajdzie kogoś, kogo obdarza zaufaniem, kogo uważa za reprezentanta własnych interesów, kto interesy społeczeństwa obywatelskiego umieszcza na pierwszym planie, prowadzi działania w imię i na rzecz owego obywatelskiego społeczeństwa. Dziękuję bardzo.

Profesor Mirosława Marody, Uniwersytet Warszawski: Jest niezmiernie trudnym wyzwaniem występować po panu profesorze, dla mnie szczególnie trudnym, ze względu na to, że jak wcześniej czytałam jego tekst, to stwierdziłam, że nie bardzo mam z czym polemizować, bo się z nim zgadzam. Jednocześnie miałam też takie nieokreślone odczucie, że jednak się troszeczkę różnimy, a zarazem problem z uchwyceniem, gdzie ta drobna różnica leży. Gdy tak się nad tym zastanawiałam, przypomniało mi się wydarzenie sprzed jakichś 7–8 lat. Prowadziłam wtedy seminarium na temat społeczeństwa ponowoczesnego i tak mniej więcej w styczniu, po świętach, miałam zajęcia na temat przemian intymności. To taki temat, który się zawsze studentom podoba, tak było i wtedy – wzmóżona dyskusja, kłócili się między sobą, przerzucali przykładami. W pewnym momencie jedna ze studentek użyła jako argumentu własnego przykładu, mówiąc: ja właśnie w czasie świąt zaręczyłam się ze swoim chłopakiem, ale ja przecież wiem, że ta nasza relacja – użyła tego wyrażenia – nie będzie trwała wiecznie, że żyjemy w takich czasach, że się to w którymś momencie skończy, że to nie jest na całe życie. Pamiętam do dziś tę jej wypowiedź, gdyż byłam nią lekko zaszokowana. Pomyślałam sobie wtedy: jak to możliwe, ta dziewczyna musi

być przecież zakochana, skoro się zaręcza, trochę staroświecka impreza, ale wskazuje na wagę tego uczucia; i robi to ze świadomością, że to wszystko jest na pewien czas, gdyż statystyki pokazują, a socjologowie mówią, że nie będzie to związek na całe życie...

Anegdotkę tę można byłoby potraktować jako przyczynek do socjologii życia codziennego, o której mówił profesor Sztompka, ale opowiadam ją tutaj przede wszystkim dlatego, iż świetnie pokazuje ona – co wyraziście uświadomiłam sobie w trakcie owej dyskusji sprzed laty – że nasze działania zależą nie tylko od form relacji, form, które można byłoby poklasyfikować i wyliczyć, ale także w bardzo mocny sposób od naszej wiedzy o rzeczywistości. Narzeczeństwo to przecież jedna ze starszych relacji, mająca długi historyczny rodowód, wiążąca ze sobą nie tylko dwie osoby, lecz również dwie rodziny. A jednak możemy śmiało założyć, że miała ona zupełnie inną treść, sens i znaczenie w przypadku mojej studentki. I to nie ze względu na to, co wiąże się z samą tą relacją, tylko ze względu na wiedzę, którą posiadali – przepraszam, że użyję tego wyrażenia – aktorzy w nią wchodzący.

Używam tutaj pojęcia wiedzy w takim sensie, jaki nadaje mu konstrukcjonizm, a więc jako sposobu widzenia rzeczywistości wyznaczającego ramy naszych działań. To widzenie zmienia się na naszych oczach. Może jeszcze jeden przykład. Wyznam, choć robię to niechętnie, że urodziłam się i dorastałam w czasach, kiedy rozwód był rzeczą wstydliwą. Ostatnio dochodzę jednak do wniosku, że zbliżamy się do momentu, kiedy to ślub będzie rzeczą wstydliwą, ponieważ widzę w młodszym pokoleniu wiele związków, noszących wszelkie znamiona dobrze ugruntowanego stałego małżeńskiego, z jednym tylko wyjątkiem – brak im formalnej ceremonii, która by go instytucjonalnie przypieczętowała. I jak mi tłumaczył moi młodszy znajomi, jest to dla nich wręcz kwestia zasad, żeby nie brać ślubu, ponieważ należy drugiej stronie pozostawić swobodę wyboru, wolność etc. Widać wyraźnie w tych wyjaśnieniach, że odwołują się oni do pojęć, które bardzo mocno określają ramy współczesnego dyskursu i mają podstawowe znaczenie dla tez formułowanych w obrębie dyskursu socjologicznego.

Nie muszę chyba tutaj tłumaczyć, że socjologowie od momentu powstania tej dyscypli-

ny – a dotyczy to zresztą również innych nauk społecznych – odgrywali szczególną rolę w kształtowaniu tej naszej wiedzy o rzeczywistości. Wynika to z tego, że usiłując wyartykułować zmiany zachodzące w działaniach, ściślej, w ogóle wyartykułować prawidłowości działań i dopiero w drugiej kolejności zmiany w nich zachodzące, tworzymy pewną rzeczywistość symboliczną, która zwrótnie te działania ukierunkowuje. Inna jest wizja mojej relacji z innymi ludźmi, kiedy jestem przekonana, że żyję w społeczeństwie, które stanowi organiczną całość, zupełnie inna, kiedy jestem przekonana, że żyję w społeczeństwie, które składa się z pojedynczych atomów, jeszcze inna wtedy, kiedy myślę tylko o relacjach. Każda z tych perspektyw inaczej ukierunkowuje moje działania jako jednostki żyjącej w konkretnej rzeczywistości społecznej opisywanej przez socjologów. Oczywiście, nie chcę tutaj twierdzić, że wszyscy czytają socjologów (być może nawet czytają ich za mało), niemniej ta wiedza socjologiczna jest dziś częścią kultury masowej i przenika do codziennego życia tak zwanych zwykłych ludzi.

Oczywiście można tutaj powiedzieć, że narzeczeństwo mojej studentki, które – z tego, co wiem – nie miało dalszych następstw, mogłoby i tak się rozpaść, ale szansa, że rozpadłoby się w XIX w. byłaby znacznie mniejsza niż teraz. Z bardzo prostego powodu: inaczej widziano wtedy zobowiązania ludzi wchodzących w tego typu relacje. Inaczej formułowana była wizja rodziny, inaczej usytuowana była wizja zadań kobiety i zadań mężczyzny itd. Wszystko to, co składa się na wizję rzeczywistości, było inne. I tutaj dochodzę do trzeciej uwagi, którą przy okazji tej anegdotki, a także i przede wszystkim przy okazji referatu chciałabym zasygnalizować. Chodzi mi o to, że ta symbolicznie wykreowana rzeczywistość zmienia się nie tylko pod wpływem kolejnych kohort socjologów, którzy rozwijając dyskurs socjologiczny, opisują jej kształt i w ten sposób ją ukierunkowują ludzkie działanie. Albowiem niezależnie od tego, jak opisujemy społeczeństwo, niezależnie od tego, czy w ogóle posługujemy się terminem „społeczeństwo”, istnieje jeszcze sfera materialnych wyznaczników działania.

Relacje między ludźmi istniały zawsze, Simmel kiedyś wskazał, że są one ważne. W którymś momencie profesor Sztompka tę myśl podjął

i nadał jej dodatkowe jeszcze znaczenie. Tyle tylko, że wszystko to, co określamy mianem relacji społecznych, zmieniło się w międzyczasie kompletnie, choćby pod wpływem – że odwołam się do przykładu użytego też przez referenta – takiego małego urządzenia, jakim jest telefon komórkowy. Dzięki niemu nasze relacje z innymi nabierają nowego kształtu. I nie chodzi jedynie o to, że jego istnienie wpływa na nasze normy kontaktowania się z innymi ludźmi, bo ja nie mogę mieć pretensji na przykład do studenta, który do mnie dzwoni w jakiejś tam sprawie, że łapie mnie na środku zatłoczonej jezdni, albo w trakcie przygotowywania obiadu i że odruchowo mówię do niego „przepraszam, muszę teraz zmienić biegi” albo „wyłączyć gaz”, zanim zacznę z nim rozmawiać. Chodzi raczej o to, że dzięki niemu ludzie często kompletnie dla mnie obcy zaczynają być gwałtownie włączani w moje osobiste życie. Oczywiście, telefon komórkowy jest tylko jednym z przykładów tych przemian relacji, jakie dokonują się pod wpływem toczącej się obecnie rewolucji technologicznej. My w tej chwili strasznie mało wiemy na temat tego, co te zmiany, których doświadczamy na co dzień, które jakoś modyfikują nasze zachowania, co te zmiany tak naprawdę ze sobą niosą dla funkcjonowania tego głównego przedmiotu zainteresowania socjologów, jakim jest społeczeństwo. Co więcej, mam absolutną pewność, że w momencie, gdy zaczniemy już trochę wiedzieć, gdy będziemy zdolni opisywać te nowe relacje wyłaniające się pod wpływem zmian technologicznych, ulegną one kolejnym zmianom pod wpływem samego tego opisu. Mamy tu więc do czynienia już nie tyle z korowodem społecznym, ile z ciągłym sprzężeniem zwrotnym między poziomem opisu a poziomem działania.

Mówiąc o wpływie zmiany technologicznej na relacje społeczne, nie chcę być posądzona o sprzyjanie jakiejś formie determinizmu technologicznego, bo to nie o to chodzi. Skłaniałabym się raczej do stanowiska, że żyjemy w świecie, który składa się z trzech podstawowych elementów: z innych ludzi, z idei oraz z obiektów materialnych, przy czym mogą nimi być i obiekty naturalne, i różnego typu artefakty. Wydaje mi się, że my, socjologowie, zbyt często zapominamy o tym, iż idee – to pojęcie rozumiem tutaj niezmiernie szeroko – mogą wy-

wierać bardzo duży wpływ na życie społeczne. Takie abstrakcyjne byty społeczne, które są powoływane do życia wyłącznie na poziomie opisu, jak rodzina, przyjaciele, ojczyzna, człowiek honoru, społeczeństwo obywatelskie, istnieją oczywiście w wymiarze materialnym, na poziomie ludzkich działań, ale jednocześnie funkcjonują w jakimś sensie w sposób niezależny, bo ze względu na leżące u ich podstaw wyobrażenia mają moc zwrotnego modyfikowania tych działań. To od treści wkładanych przez nas w te pojęcia zależą nasze zachowania.

Właściwie powinnam już kończyć, może jeszcze jedna uwaga szczegółowa i jedna ogólna: profesor Sztompka zakończył swoje wystąpienie, odwołując się do pojęcia postępu. Nawet się trochę zdziwiłam, ponieważ przypomniało mi się wiele tekstów socjologicznych, w których pojęcie postępu jest odsądzane od czci i wiary, i wskazuje się (na różne bardzo erudycyjne sposoby), ile to szkód przyniosło ze sobą, gdyż to właśnie pod hasłem postępu ludzie podejmowali różnego rodzaju działania oceniane dziś bardzo negatywnie. Pomyślałam sobie, że może należałoby to pojęcie zamienić na takie, które powinno być bliskie mojemu koledze, profesorowi Czapińskiemu, bo dużo na ten temat pisał, mianowicie na pojęcie szczęścia. Ma ono bardziej indywidualistyczny charakter i mniej jest zależne od kształtu społeczeństwa, a bardziej od tego, jak my sami postrzegamy i układamy nasze relacje z innymi. Druga uwaga wiąże się już może mniej z tematem referatu, a bardziej z tytułem pisma wydawanego przez naszego gospodarza i jego zespół. Ten tytuł, *Zarządzanie Publiczne*, jest takim dobrym przykładem zmiany pojęcia zakreślającego obszar spraw, które kiedyś określane były mianem rządu. Proszę zwrócić uwagę, że tej zmianie pojęcia towarzyszy całkowita zmiana sposobu widzenia relacji między obywatelem a państwem, między politykami a ich wyborcami, między urzędami a petentami itd.

Jeszcze ostatnie zdanie – słuchając profesora Sztompki, myślałam już, o czym chcę powiedzieć, i pewnie dlatego przyszło mi do głowy, że być może jednym z powodów, dla których działania określone mianem społeczeństwa obywatelskiego tak słabo się w Polsce przyjmują, jest to, że pojęcie obywatela przez wiele lat związane było z relacją między przechodniem a mili-

cjantem, który zwracając się do nas, mówił: obywatelu...

Profesor Jerzy Hausner: ...mówiło się: obywatelu władzo.

Mirosława Marody: ...to zwrotnie: obywatelu władzo. No ale myślę, że to może zbyt daleko idąca hipoteza!

Profesor Jerzy Hausner: Bardzo dziękuję i teraz poproszę profesora Janusza Czapińskiego.

Profesor Janusz Czapiński, Uniwersytet Warszawski: Dziękuję bardzo za zaproszenie, drugi raz już jestem na Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie i dobrze się tutaj czuję. W Krakowie jest inny język, jego emanacją było to, co usłyszeliśmy dziś z ust profesora Sztompki – to jest naprawdę dużo lepszy język niż warszawski. Może aura Krakowa obdarzy mnie także umiejętnością lepszego wystawiania się na spotkaniach w innych miastach. Witam pana, panie profesorze, w klubie psychologów społecznych. Takie spotkania są dosyć wyjątkowe. Przez kilkadziesiąt lat równoległe rozwijały się dwie psychologie społeczne: jedna tzw. socjologiczna psychologia społeczna, która miała takich bohaterów, jak np. George'a Meada czy Ervinga Goffmana. Obok rozwijała się tzw. psychologiczna psychologia społeczna też z wieloma swoimi bohaterami: Kurtem Levinem, Fritzem Heiderem, później Philipem Zimbardo, Leo Festingerem, Robertem Zajoncem i innymi. I żadnych spotkań między tymi dwiema psychologiami społecznymi, ani w publicystyce naukowej, ani we wspólnych projektach badawczych, ani nawet towarzysko, nigdy nie było. Socjologiczni psychologowie społeczni wydawali swoje prace w periodykach wydawanych przez Amerykańskie Towarzystwo Socjologiczne, a psychologiczni psychologowie społeczni publikowali wyłącznie w periodykach wydawanych przez Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne. Nie było żadnych spotkań z okazji kongresów, zjazdów towarzystw itd. Z czego nie wynika, że nie podczytywali, jak nikt nie widział, nawzajem swoich prac. Dlatego mówię, że to dzisiejsze spotkanie jest wyjątkowe. Jest wyjątkowe w tym sensie, że rzadko się zdarza, że w jednym miejscu, przy okazji mówienia o podobnych sprawach spotyka się socjologiczny psycholog społeczny, nawet dwóch – prof. Mirę Marody też zaliczam do socjologicznych psychologów społecznych – i psychologiczny psycholog społeczny.

Jestem zdeklarowanym i zatwardziałym empirystą. Hołduję zasadzie: tyle teorii, ile jest niezbędne, w związku z tym państwo pozwoli, że za chwilę przejdę do projektora, by pokazać trochę robaków: wykresów i danych liczbowych, odnoszących się do jednego tylko, ale niezwykle ważnego wątku wystąpienia pana profesora, do wątku związanego z kapitałem społecznym.

Co prawda pan profesor tego wprost nie powiedział, ale znalazłem w jego wystąpieniu tezę, że kapitał społeczny jest zawsze i dla wszystkich korzystny. Moim zdaniem to nie do końca prawda. Już Robert Putnam zauważył, że bywa kapitał społeczny toksyczny. Dokonał on rozróżnienia na kapitał społeczny wiążący – to jest ta przestrzeń międzyludzka, która ogranicza się do „swojaków”, zwłaszcza do rodziny, do kumpli, do znajomych, do układu – i jest kapitał społeczny pomostowy, który oznacza sieci związków wykraczające poza mury własnego zamku i łączące różne grody czy różne zamki. Ale nie o tym wątku chciałem mówić. Chciałem się z państwem podzielić tym, co profesor Hausner zna, ale napisał mi, że nie rozumie, więc dzisiaj postaram się bardziej przystępnie omówić to, co mu wcześniej przysłałem.

Upprzedzam, że to, o czym za chwilę powiem, jest mało psychologiczne. Pokażę dane z badań międzynarodowych z okresu minionych 30 lat dla sprawdzenia, jakie znaczenie dla wzrostu gospodarczego mają dwa rodzaje kapitału: ludzki i społeczny.

Wcześniej jednak chciałbym się krótko odnieść do jednej sprawy z początkowej części referatu pana profesora. Otóż, moim zdaniem, kiedyś przyjdzie czas, może już jest pora, żeby połączyć trzy paradygmaty, o których pan profesor mówił, ponieważ żaden z nich nie daje pełnego obrazu funkcjonowania ludzi w grupach, funkcjonowania ludzi we wzajemnych relacjach. Nawiasem mówiąc, to, o czym pan profesor mówił, rodzi całą masę pytań, jeśli nie wątpliwości, o charakterze filozoficznym, na przykład pytań związanych z wolną wolą. Ile jest tej wolnej woli? Nawet jeśli przyjmujemy, że bardzo mało, to czy wolną wolę odbierają nam tylko ci „inni”, z którymi jesteśmy w kontakcie, ci, co za nas tak naprawdę piszą nasze biografie, czy też być może wolną wolę ograniczają dwa inne byty czy dwaj inni agenci o różnym charakterze. Jednym

z nich jest wspólnota czy grupa, która może być dalece zinstytucjonalizowana, ma procedury, także prawne, ma normy, całą masę nakazów i zakazów i, co najważniejsze, jest bytem, który potrafi się adaptować. Jeśli potrafi się adaptować, to jest czymś na wzór organizmu żywego. Drugi agent, ograniczający nam wolną wolę, wtrąca się do tego, w jaki sposób kształtujemy swoją przestrzeń międzyludzką – to są nasze geny.

Przejdę teraz do prezentacji roli kapitału ludzkiego i społecznego w ekonomicznej pomysłowości wspólnoty.

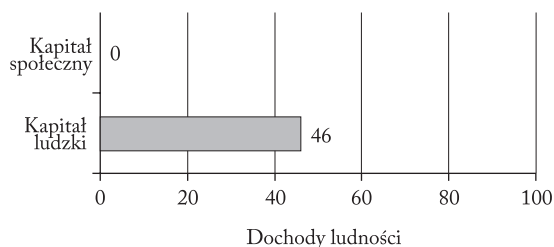
Nawiasem mówiąc, problem ten wkomponowuje się w chronologię powstawania trzech socjologii, a przynajmniej dwóch ostatnich. Kapitał ludzki zainteresował w połowie ubiegłego wieku ekonomistów o indywidualistycznym, behawioralnym podejściu. Wszystko, co tworzone jest w społeczeństwie, tworzą poszczególni uczestnicy gry społecznej. Żeby sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego społeczeństwo się rozwija, trzeba odpowiedzieć na pytanie, co jest w ludziach, co jest w ich głowach, jaką mają wiedzę, jak dalece są zdrowi, umotywowani do roboty albo do czegokolwiek innego. To taki paradygmat odpowiadający łacińskiej sentencji *omnia mea mecum porto* („wszystko co mam, noszę ze sobą”). Wszystko jest we mnie, ja się nauczyłem, ja jestem zdrowy, ja jestem szczęśliwy itd. I z tego coś może wynikać także dla całej wspólnoty. Mniej więcej od lat 50. ubiegłego wieku próbowano szukać odpowiedzi na pytanie, dlaczego jedne społeczeństwa rozwijają się lepiej, a inne gorzej, w różnych miarach kapitału ludzkiego. Ponieważ model, w którym główną zmienną wyjaśniającą był kapitał ludzki, nie do końca się sprawdzał, zaczęto szukać jakiegoś innego jeszcze kapitału prorozwojowego. Sięgnięto do prac socjologów, Bourdieu i Colemana. Pierwszy zrobił to Putnam – pojechał do Włoch, przebadał południe i północ tego kraju i stwierdził: tym czynnikiem, który decyduje o diametralnym zróżnicowaniu poziomu rozwoju Włoch południowych i północnych jest kapitał społeczny. Nie ludzki, nie fizyczny, tylko społeczny.

Są trzy główne kapitały: fizyczny, ludzki i społeczny. We wcześniejszym tekście, który został opublikowany w *Zarządzaniu Publicznym*, postawiłem tezę, że kapitał ludzki decyduje o wygranej w rywalizacji indywidualnej, służy dobro-

bytowi jednostek. Jak mam odpowiednią wiedzę, jestem zdrowy i napalony na robotę, to istnieje duża szansa, że będę bogatszy od leniwego niedouka. Twierdziłem dalej, że kapitał ludzki ma stosunkowo niewielkie znaczenie, jeśli chodzi o pomyślność wspólnoty. Proszę zwrócić uwagę, tu są dwie ryciny (1, 2), które pokazują, dla 25 krajów Europy, jakie znaczenie dla zróżnicowania dochodów poszczególnych gospodarstw domowych ma jeden i drugi kapitał i jakie znaczenie mają one dla wyjaśnienia zróżnicowania produktu krajowego brutto między tymi krajami. Jak państwo widzicie, układ jest całkowicie asymetryczny. Jeśli chodzi o zróżnicowanie dochodów ludności w krajach europejskich, liczy się prawie wyłącznie kapitał ludzki. Wyjaśnia on prawie połowę zróżnicowania indywidualnych dochodów pomiędzy poszczególnymi gospodarstwami domowymi. Kapitał społeczny ma natomiast zerowe znaczenie. Jeśli chodzi natomiast o wyjaśnienie różnic na zagregowanym poziomie zamożności wspólnot, w tym przypadku wspólnot narodowych, to liczy się tak naprawdę wyłącznie kapitał społeczny. To, czy ludzie potrafią ze sobą współpracować, czy są na siebie otwarci, czy mają do siebie zaufanie, czy są skorumpowani, czy też nie są skorumpowani, czy nie korumpują innych – decyduje o zamożności kraju. Kapitał ludzki zaś nie różnicuje wcale zamożności krajów.

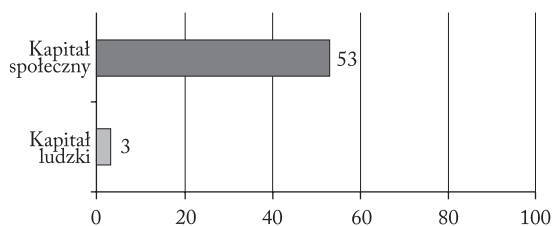
Już po opublikowaniu artykułu w *Zarządzaniu Publicznym* uznałem, że tezy o znaczeniu kapitału ludzkiego i społecznego dla rozwoju indywidualnego i grupowego nie muszą być uniwersalnie prawdziwe. Analizy danych empirycznych w tamtym artykule ograniczały się do krajów stosunkowo wysoko rozwiniętych. Być może, pomyślałem, inne reguły rządzą wzrostem gospodarczym krajów słabiej rozwiniętych. Nie wykluczone, że w grupie krajów ubogich o rozwoju gospodarczym decyduje jednak przede wszystkim kapitał ludzki, a nie kapitał społeczny.

Nie wiem czy państwo wiecie, że przeciętny Szwajcar wcale nie jest lepiej wykształcony od przeciętnego Polaka. To nie poziom wykształcenia zatem decyduje o tym, że Szwajcaria jest zdecydowanie bogatszym krajem. Zapewne po osiągnięciu pewnego poziomu dobrobytu zbiorowego kapitał ludzki, w tym wykształcenie, przestaje decydować o tempie rozwoju wspólno-



Ryc. 1. Znaczenie kapitału ludzkiego (wykształcenie i dobrostan) i kapitału społecznego dla zróżnicowania dochodów indywidualnych ludności w 25 krajach europejskich (procent wariancji wyjaśnionej przez dany kapitał przy kontroli pozostałego)

Źródło: Bank Światowy i Europejski Sondaż Społeczny 2006.



Ryc. 2. Znaczenie kapitału ludzkiego (wykształcenie i dobrostan) i kapitału społecznego dla zróżnicowania PKB *per capita* między 25 krajami europejskimi (procent wariancji wyjaśnionej przez dany kapitał przy kontroli pozostałego)

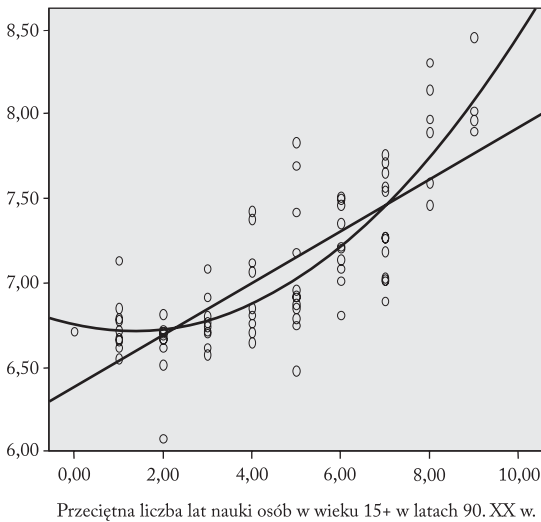
Źródło: Bank Światowy i Europejski Sondaż Społeczny 2006.

ty. Ale Polska, która ma bardzo niewielki kapitał społeczny, rozwijała się gospodarczo w ostatnich 20 latach w tempie lepszym niż Szwajcaria. Pokażę teraz kilka slajdów, które dowodzą, że istotnie inna jest zależność między kapitałami ludzkim i społecznym a wzrostem gospodarczym w zależności od poziomu rozwoju. Na rycinach 3 i 4 zmienną wyjaśnianą jest logarytm wzrostu PKB *per capita*, wyrażonego w dolarach, z roku 2000 w okresie 12 lat między 1995 i 2006 r. Pierwszym czynnikiem, który ma wyjaśnić zróżnicowanie tempa wzrostu, jest przeciętna długość nauki osób w wieku 15 i więcej lat w latach 90., czyli w punkcie wyjścia dla okresu, dla którego badamy tempo wzrostu produktu krajowego brutto. Drugim predyktorem jest pomostowy kapitał społeczny (uogólnione zaufanie do innych i przynależność organizacyjna).

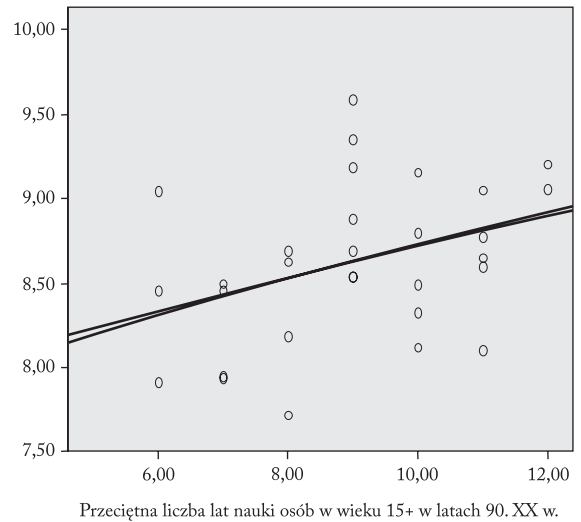
Tab. 1. Poziom wykształcenia społeczeństwa jako predyktor logarytmu wzrostu PKB *per capita* w latach 1995–2006 w krajach ubogich i bogatych

Grupa krajów		Równanie	Podsumowanie modelu				
			R kwadrat	F	df1	df2	Sig.
Ubogie	Liniowe		0,607	126,455	1	82	0,000
	Kwadratowe		0,642	84,967	2	81	0,000
Bogate	Liniowe		0,140	4,565	1	28	0,042
	Kwadratowe		0,141	2,207	2	27	0,130

Ln wzrostu PKB
per capita w dolarach
z 2000 r.
w latach 1995-2006



Ln wzrostu PKB
per capita w dolarach
z 2000 r.
w latach 1995-2006

Ryc. 3. Poziom wykształcenia społeczeństwa jako predyktor logarytmu wzrostu PKB *per capita* w krajach ubogich (lewy panel) i bogatych (prawy panel)

Źródło: Bank Światowy.

Pierwszy wykres pokazuje zależność dla krajów ubogich, a drugi wykres – dla grupy krajów bogatych. Widać wyraźnie, i odpowiednie statystyki to potwierdzają, że przeciętna liczba lat nauki wyjaśnia tempo późniejszego wzrostu produktu krajowego brutto wyłącznie w krajach ubogich. W krajach bogatych nie ma istotnej zależności. Natomiast pomostowy kapitał społeczny odwrotnie: wyjaśnia zróżnicowanie tempa rozwoju w kolejnych 12 latach tylko w grupie krajów bogatych, natomiast nie ma znaczenia w grupie krajów ubogich. Ta silna zależność asymetryczna w zależności od poziomu rozwoju

występuje dla zróżnicowanej palety mierników kapitału społecznego i przedziałów czasowych.

A zatem w krajach bogatych liczy się, jeśli chodzi o przewidywanie wzrostu gospodarczego, przede wszystkim kapitał społeczny, nie liczy się natomiast kapitał ludzki, który w tej grupie krajów jest na stosunkowo wysokim poziomie. Powstaje jednak wątpliwość, czy istotnie kapitały ludzki i społeczny są czynnikami generującymi wzrost gospodarczy. Być może o tempie rozwoju decyduje raczej wyjściowy poziom rozwoju. Żeby to sprawdzić, należy w analizie regresji wytrącić efekt wyjściowego poziomu PKB.

Wówczas okazuje się, że w obu grupach krajów, i ubogich, i bogatych, wyjściowy poziom PKB nie jest wcale lepszym predyktorem tempa wzrostu PKB niż – odpowiednio – kapitał ludzki w grupie krajów ubogich i kapitał społeczny w grupie krajów bogatych.

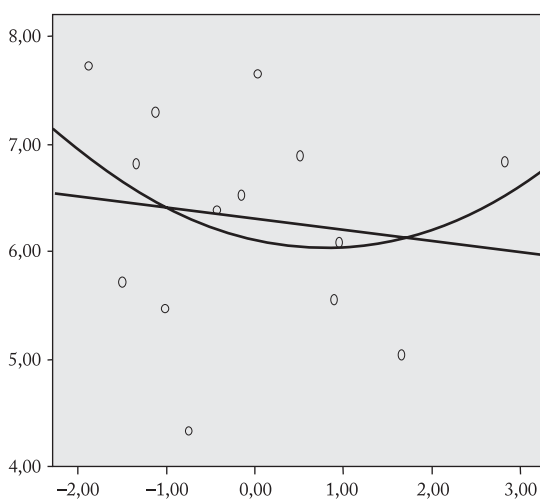
Pora zadać dwa pytania: pierwsze – co decydowało o rozwoju ekonomicznym Polski w minionych 20 latach (przypominam – średnioroczne tempo wzrostu PKB wynosiło 4,2%) i drugie – co nas czeka w przyszłości. Polska należała i należy w dalszym ciągu do krajów ubo-

gich w tej kategoryzacji, którą tutaj przyjąłem. Należy zatem przypuszczać, że decydujące znaczenie dla wzrostu gospodarczego miał wyłącznie wzrost kapitału ludzkiego. Polacy rzeczywiście kształcili się na potęgę. Pobiliśmy pod tym względem rekord w historii ludzkości. Nigdzie nie odnotowano, nawet w zamierchłej przeszłości, w żadnym miejscu na kuli ziemskiej takiego tempa wzrostu liczby studentów jak u nas. I rzeczywiście widać idealną wręcz dla Polski zależność liniową w kolejnych latach między liczbą studentów a wielkością PKB na osobę.

Tab. 2. Pomostowy kapitał społeczny (zaufanie i kolektywizm instytucjonalny) jako predyktor logarytmu wzrostu PKB *per capita* w latach 1995–2006 w krajach ubogich i bogatych

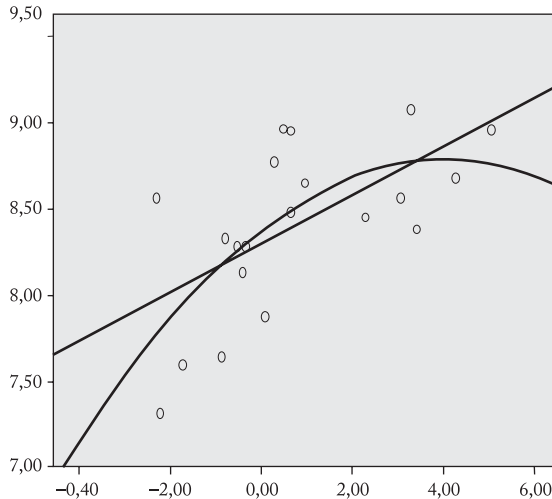
Grupa krajów		Równanie	Podsumowanie modelu				
			R kwadrat	F	df1	df2	Sig.
Ubogie	Liniowe		0,043	0,543	1	12	0,475
	Kwadratowe		0,104	0,639	2	11	0,546
Bogate	Liniowe		0,380	11,017	1	18	0,004
	Kwadratowe		0,425	6,279	2	17	0,009

Ln wzrostu PKB
per capita w dolarach
z 2000 r.
w latach 1995-2006



Pomostowy kapitał społeczny w drugiej połowie 90. XX w.

Ln wzrostu PKB
per capita w dolarach
z 2000 r.
w latach 1995-2006



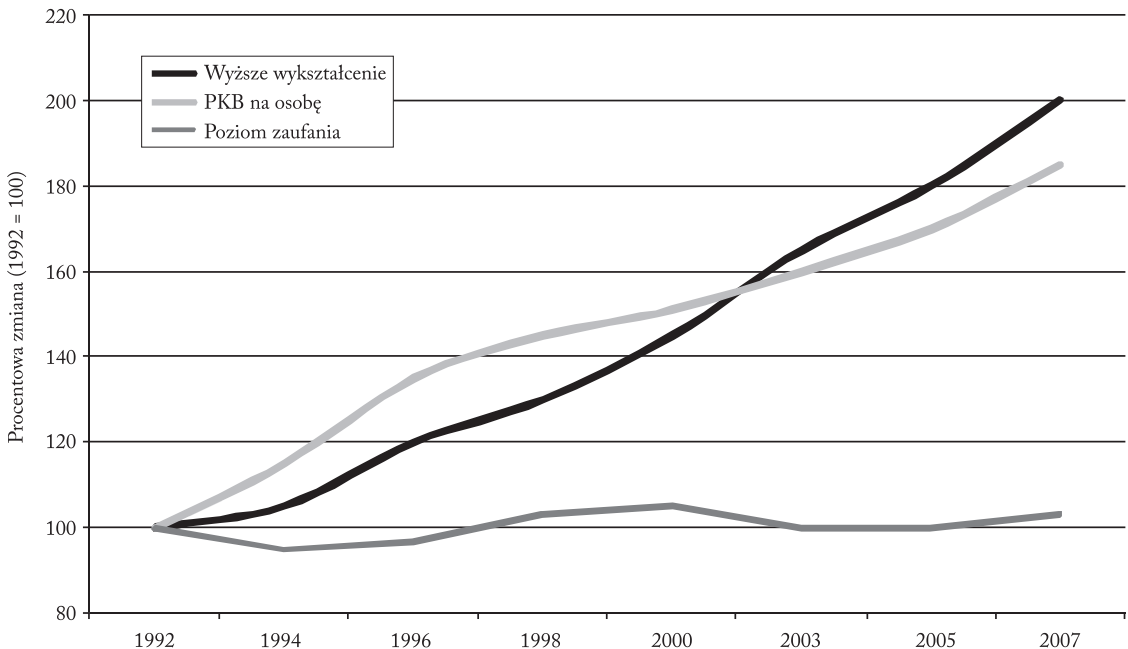
Ryc. 4. Pomostowy kapitał społeczny (zaufanie i kolektywizm instytucjonalny) jako predyktor logarytmu wzrostu PKB *per capita* w krajach ubogich (lewy panel) i bogatych (prawy panel)

Źródło: Bank Światowy, World Value Survey i GLOBE.

A co z kapitałem społecznym, który będzie niezbędny po przekroczeniu przez Polskę progu krajów bogatych? Niestety należy do najniższych na świecie i nie zmienia się jego poziom od czasu, gdy są u nas prowadzone odpowiednie pomiary, czyli od początku lat 90. Kolejny wykres obrazuje miejsce Polski w zakresie najpopularniejszej miary pomostowego kapitału społecznego (uogólnione zaufanie i przynależność organizacyjna). Jak widać, za nami jest już tylko Argentyna, Cypr, Rumunia, Maroko, Malezja i Rosja. Następny wykres pokazuje miejsce Polski, jeśli chodzi o indeks nielegalnej korupcji korporacyjnej, czyli nieczystego załatwiania interesów przez firmy w danym kraju, głównie w relacjach z sektorem publicznym. Gorzej niż w Polsce jest tylko w Boliwii, Nigerii, Pakistanie, Rumunii, Rosji, Paragwaju, na Ukrainie i w Bangladeszu.

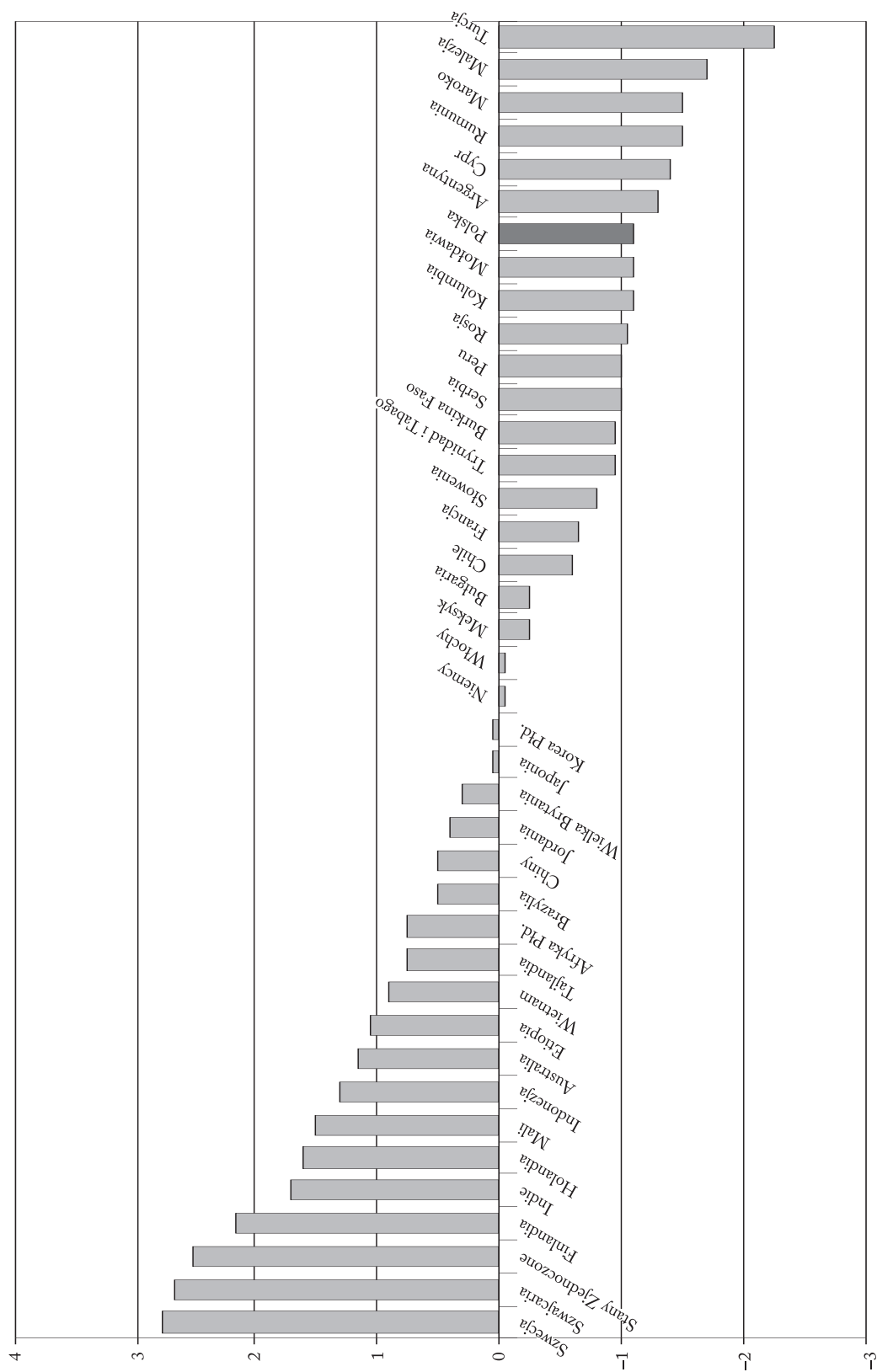
No i teraz fundamentalne pytanie: co z tego wynika dla perspektyw rozwoju Polski? Zależności między kapitałem ludzkim i społecz-

nym a tempem wzrostu gospodarczego potwierdzają teorię katastrof. Widzimy przejście fazowe między krajami ubogimi i bogatymi. Jeśli jakiś kraj zmienia choćby nieznacznie swój poziom zamożności i wpada do grupy krajów bogatych, jego rozwój zaczyna podlegać radykalnie odmiennym regułom: przestaje mieć znaczenie dalsze inwestowanie w kapitał ludzki, natomiast decydującej roli nabiera kapitał społeczny. Próbowałem znaleźć ten moment przejścia fazowego, czyli kryterium dzielące kraje na dwie grupy o odmiennych regułach rozwoju. Znalazłem empirycznie to kryterium wyrażone w postaci PKB *per capita* w dolarach z roku 2000. Jest nim 8000–10 000 dolarów. My w tej chwili mamy 6500. Gdybyśmy utrzymali tempo wzrostu gospodarczego 3,5 do 4,5%, to za 5 lat grozi nam „nieszczęście” wejścia do grupy krajów bogatych. Nieszczęście, bo my nie mamy kapitału społecznego, który pozwoliłby nam w tym klubie dobrze się czuć i dobrze rozwijać. Pocieszające jest to, że



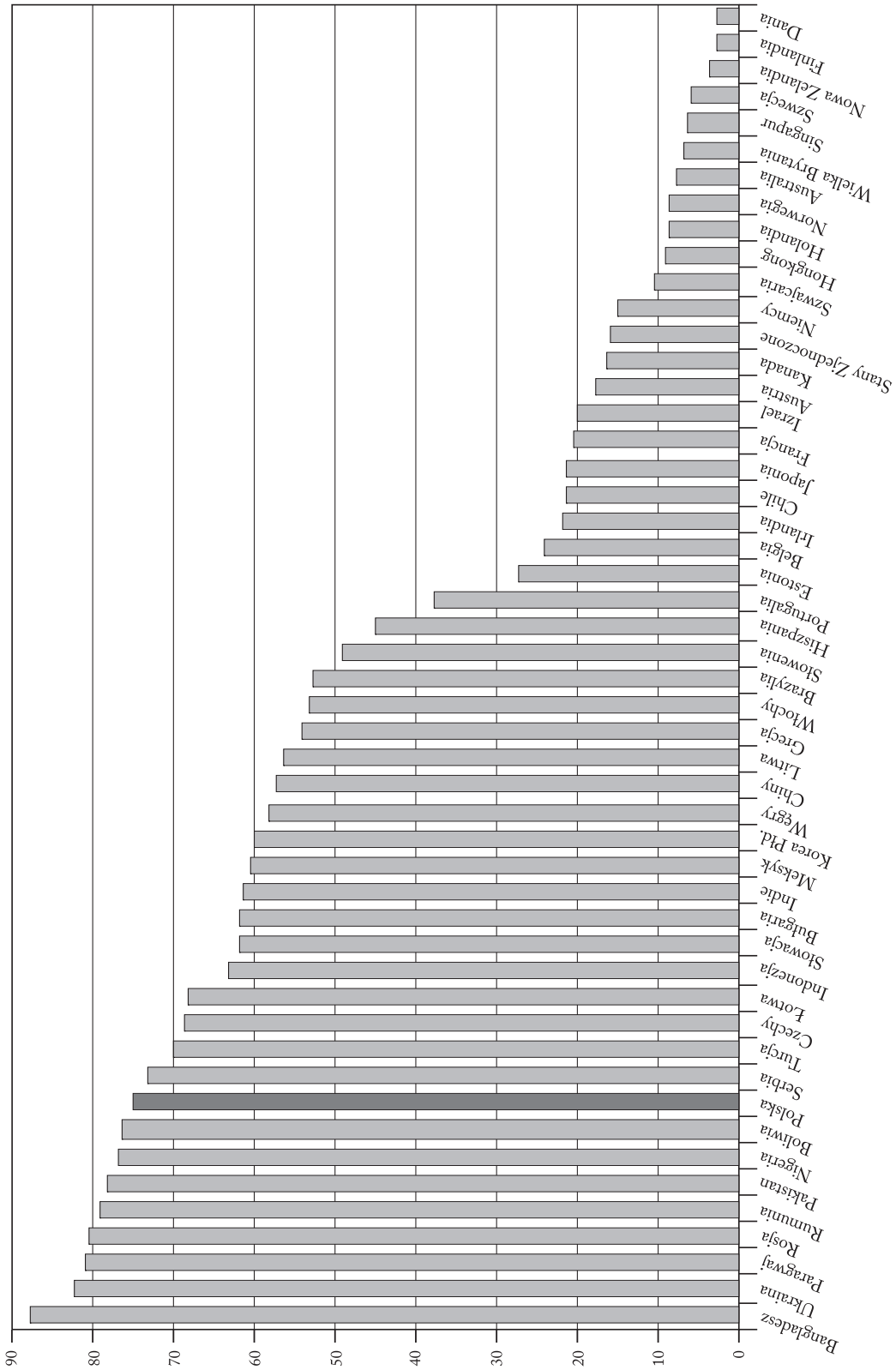
Ryc. 5. Zmiana poziomu wykształcenia społeczeństwa, PKB i poziomu zaufania w Polsce w latach 1992–2007 (współczynniki korelacji: PKB x odsetek osób z wyższym wykształceniem $r = 0,97$, $p < 0,000$ i PKB x poziom zaufania $r = 0,46$, ni.)

Źródło: GUS i Diagnoza Społeczna.



Ryc. 6. Poziom kapitału społecznego (suma standaryzowanych wskaźników zaufania i aktywności organizacyjnej)

Źródło: World Value Survey, 2005.



Ryc. 7. Indeks nielegalnej korupcji korporacyjnej

Źródło: Kaufmann, 2004.

kryzys bardzo spowolni tempo wzrostu, wobec czego wydłuża nam się perspektywa wejścia do grupy krajów bogatych o jakieś kolejne być może 5 lat. Wobec tego życzę państwu wszystkiego najlepszego na najbliższe 10 lat, bo w tym okresie jeszcze nam żadna katastrofa nie grozi.

Profesor Jerzy Hausner: Dziękujemy za wystąpienie. Teraz otwieram dyskusję – pan profesor Jerzy Mikułowski-Pomorski.

Profesor Jerzy Mikułowski-Pomorski, Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie: Sam referat bardzo mi się podobał, ale nie chcę poświęcać swojego wystąpienia laudacji autora, lecz pewnym problemom związanym z jego ogólnym przesłaniem. Mam tutaj kilka wątpliwości.

Pierwszą budzi tytuł pracy „przestrzeń życia codziennego”. Termin przestrzeń nie został wyjaśniony. Ponieważ rozważania nie dotyczą ani struktury przestrzeni, ani jej czytelności, rozumiem, że użyte określenie ma wartość metaforyczną na oznaczenie warunków dla możliwych interakcji. Przestrzeń to forma świata ludzkiego, która ma być lub jest wypełniona. Moje rozumienie przestrzeni jako formy zostaje tu zakwestionowane.

W zaproponowanej wersji przestrzeń to nie forma, ale treść, a tą treścią jest społeczeństwo. Jest to nowe ontologiczne spojrzenie na przestrzeń, to nie możliwość, ale spełnienie, to nie jest naczynie, lecz jego wypełnienie.

Dalszą wątpliwość stwarza „życie codzienne”. W potocznym rozumieniu codzienność sugeruje zjawiska regularne, powtarzalne co dnia, coś co najlepiej oddaje powszedniość – „chleba naszego powszedniego” – działania ludzkie, których przeciwieństwem jest wyjątkowość, niepowtarzalność, czy też powtarzalność w szczególnych wypadkach, a więc odświętność.

Tymczasem słuchając referatu, przekonujemy się, że ta na pozór oczywista sugestia jest myląca. Kwestia codzienności dotyczy bowiem uprawiania nauki, nie zaś statusu obserwowanych zjawisk. To, co profesor Sztompka nazywa codziennością lub życiem codziennym, należy do życia człowieka traktowanego jako przedmiot badań nauk humanistycznych, gdy to, co odmienne od niego jest teoretyzowaniem o nim, jego modelowaniem. Termin dotyczy podejścia nauki, raz indukcyjnego, innym razem dedukcyjnego, i warto tu zapytać, co i komu jest powszednie, a co wy-

jątkowe w jego konkretnym warsztacie naukowym. Dla antropologa czy etnografa, socjologa empiryka codziennym będzie życie, odświętnym jego modelowanie, dla teoretyka społecznego przeciwnie: codziennym – modelowanie, odświętnym – obserwowanie życia potocznego, czy też najczęściej wynajdowanie w tym życiu przykładów odpowiadających modelom.

Takie postępowanie byłoby wybaczone, gdyby życie codzienne i życie odświętne nie tworzyły dziś problemów, i to całkiem nowych.

Choćby wczorajszy przykład z Waszyngtonu pokazywał oczekiwaną „codziennność” odbywającej się co cztery lata prezydenckiej inauguracji jako przejaw życia odświętnego. Ale gdybyśmy budowali życie odświętne w opozycji do życia codziennego, to zapewne wiele aktywności, które do niedawna zaliczano do codziennego, znalazłoby się dziś w życiu odświętnym. Wiele aktów partycypacji kulturalnej przez swą aranżację nabiera cech wyjątkowości i nie może być zaliczane do codziennych zwyczajów odbiorczych. Dziś ludzka obyczajowość ulega poważnym zmianom. Raczej sugerowałbym w to miejsce inne terminy, jak choćby życie społeczne.

Problem drugi, z poprzedniego wynikający, dotyczy użycia pojęcia, „społeczeństwo”. Życie społeczne, a więc życie człowieka z innymi ludźmi, jest dla mnie bardziej realne niż niejasny dziś termin społeczeństwo. W latach nowoczesności i metalności nowoczesnej użycie terminu społeczeństwo było podkreślaniami ładu, który bądź jest, bądź się staje, narasta, intensyfikuje.

O społeczeństwie i społecznym stawianiu się uczył mnie Paweł Rybicki, który podzielał perspektywę stawiania się społecznego, jak dziś profesor Sztompka, ale swoiście ujmował społeczeństwo. W jego mniemaniu socjologia, gdy mówi o społeczeństwie, to *tylko w pewnym sensie*, gdy można opatrzyć je przymiotnikiem. Mogło to być zarówno społeczeństwo industrialne, społeczeństwo narodowe, społeczeństwo konsumpcyjne, społeczeństwo medialne, jak i społeczeństwo polskie. Każdy przymiotnik wskazywał na kryteria, według których podmioty zostały wyselekcjonowane, by stworzyć właśnie takie społeczeństwo: pracę w przemyśle, posiadanie kultury narodowej, koncentracja na używaniu dóbr, posługiwanie się mediami etc. Te różne społeczeństwa mogą się wykluczać i na siebie nakładać. Im

więcej cech wspólnych wskazanych przez nazwę społeczeństwa, co odnosi się do samych podmiotów, a zakresy społeczeństw nakładają się na siebie, tym bardziej zwarta jest zbiorowość. Dla różnych form życia społecznego Rybicki rezerwował wspólny termin *zbiorowość*, sugerujący coś społecznie bardziej złączonego niż zbiór. Jednak w szkole Jana Szczepańskiego, która odcisnęła silne piętno na socjologach polskich średniego dziś pokolenia, społeczeństwo było terminem niezwykłym, skoro szkoła ta koncentrowała się na kształtowaniu się polskiego, narodowego społeczeństwa przemysłowego. Tam społeczeństwo było jedno.

Na tym tle oczywiście pojawił się problem, czy szkoła formalna, z której Rybicki w pewnym sensie się wywodził, nie miała na to innej niż zbiorowość odpowiedzi, jak u Leopolda von Wiese, z jego *abstrakte Kollektiva*, wyższą ponadgrupową formą związku ludzkiego. Te *abstrakte Kollektiva* zniknęły z teorii socjologicznej i nie przypominam sobie, by ktoś do nich nawiązywał.

Jak sądzę, te braki łączą się z pewnym kryzysem w posługiwaniu się terminem więzi społecznej, chociaż rzeczywistość społeczeństwa ponowoczesnego stanowi dziś dla jej problematyki poważne wyzwanie. To też problematyka Rybickiego z jego podziałem na więź biologiczną, stanowioną i zrzeszeniową. Ta nowa byłaby więzią dowodzoną w działaniu lub też więzią wyobrażoną. O konstruowaniu tej więzi świadczy dziś aktywność ludzkich podmiotów, które są motywowane własną tożsamością, bez względu na to, czy będzie się ona opierać na pokrewieństwie, prawie, czy akcie zrzeszania. Czy wypełnia ona przestrzeń? Trudno orzekać, skoro przestrzeń współczesnego świata uległa, jak mówi Giddens, kompresji, a ludzie żyją *without sense of place*.

Trzeci problem to potrzeba przypisania trzech wyróżnionych socjologii do określonych historycznie form rozwoju społecznego. Występowanie w nauce tych trzech spojrzeń układa się w pewne sekwencje czasowe. Gdyby zgodzić się na niemiałą pewnym socjologom prawdę, że ich nauka jest wiedzą idiograficzną, trzeba stwierdzić, że te trzy socjologie nakładają się na opisy różnych okresów dominujących form życia społecznego – od stawania się społeczeństwa industrialnego po lata postglobalizmu. Życie spo-

łeczne działań człowieka i jego wyobrażeń o jego związkach z innymi, dostrzegane przez profesora Sztompkę w socjologii trzeciej, jest reakcją na wątpliwości co do słuszności przekonania o stającym się zintegrowanym ładzie społecznym, którego najnowszym przejawem ma być globalizm. Ład globalny, jak też i każdy inny, moim zdaniem, istnieje w tym podejściu o tyle, o ile ludzie uważają go za realny. Przewrót kulturowy uświadomił, że poszukiwana wspólnota globalna nie zapewnia wspólnego kontekstu kulturowego, ale też nie zabrania jednostkom w taki spójny kontekst wierzyć i indywidualnie go sobie definiować.

No i w końcu tak na marginesie ostatnia intuicja bardziej niż opinia. Pan profesor często odwołuje się do doświadczenia poetów jako wskazówek dla pojmowania społecznych zmian. Otóż intuicje poetów jako intuicje społeczne zarówno wnoszą pewne wartości, jak i przynoszą niebezpieczeństwa. To, co mówi poeta, może być zarówno jego bardzo indywidualną ekspresją, jak i artykułowaniem kolektywnych sądów. Łatwo jest te dwa rodzaje komunikatów ze sobą pomylić. Wystarczy poczytać zapisy na internetowych czatach, które przypominają zapisy poetyckie, by to zrozumieć. Ich funkcje konatywne są różne i nieraz trudne do uchwycenia. Jako socjolog wolałbym postępować za ludzkimi potocznymi doświadczeniami wyartykułowanymi w przekazie osobistym. Przekaz poety w latach bardzo zróżnicowanych doświadczeń czasów przełomu może wprowadzać w błąd i nie poddawać się jednoznacznej interpretacji.

dr Tomasz Homa SJ, Wyższa Szkoła Filozoficzno-Pedagogiczna „Ignatianum” w Krakowie: Nie jestem socjologiem, nie jestem psychologiem społecznym, zajmuję się filozofią. Powiedzieć, że jestem filozofem, byłoby przesadą. To, co mnie zastanawia w referacie pana profesora Sztompki, to proponowana koncepcja człowieka, jednostki, o której wspominał też już pan profesor Czapiński. Ta zaś jawi mi się jako w sposób istotny problematyczna, gdyż w tym ujęciu jest wysoce deterministyczna – mielibyśmy do czynienia z determinizmem społeczno-biologicznym. Biorąc pod uwagę, że jedną z kategorii kluczowych, o których pan profesor mówi, jest kategoria działania, pozostająca w ścisłej relacji również z tą koncepcją człowieka, trud-

no nie pytać się o zmienną – zdaniem części filozofów – właściwą człowiekowi, a mianowicie o zmienną, którą moglibyśmy nazwać zmienną wolności, wolnej woli, czy też jeszcze inaczej, czyli o właściwość w sposób istotny niedeterministyczną, mającą równie znaczący wpływ na kształt tego, co nazwiemy społeczeństwem, jakkolwiek byśmy je definiowali. Stąd moje pytanie o przyjętą przez pana ideę człowieka, bowiem mam wrażenie, że cała pana koncepcja – może za dużo powiedziane – ale istotne aspekty tej koncepcji są zbudowane na fundamencie, który z filozoficznego punktu widzenia jawi się w sposób znaczący jako problematyczny. Dziękuję.

Profesor Janina Filek, Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie: Jak mój przedmówca zamierzałam zapytać o koncepcję człowieka. Jako osobę zajmującą się filozofią zaniepokoił mnie w propozycji profesora Sztompki brak jasno określonej idei człowieka. Wprawdzie dało się między wierszami odnaleźć odwołania czy to do Arystotelesowskiej koncepcji człowieka jako istoty społecznej, czy to do koncepcji dialogicznej, jednakże dla filozofa przedstawiona propozycja byłaby znacznie ciekawsza, gdyby jej twórca odkrył założenia co do istoty człowieka budującego przestrzeń międzyludzką.

Słuchając wystąpienia profesora Sztompki, zaczęłam się także zastanawiać, czy do tej propozycji dałoby się odnieść spostrzeżenie Nicolaia Hartmanna o rozświetlaniu przez umysł człowieka pewnych wartości za cenę zaciemniania innych wartości, na które nie został „rzucony snop światła”. Koncentrując się na analizie wybranych wartości, siłą rzeczy badacze pozostawiają niedoświetlone wartości leżące w oddali od tych, na które właśnie rzucili „rozświetlający je snop światła”. Czy nie mamy w historii socjologii do czynienia z takim na przemian rozświetlaniem i zaciemnianiem pewnych pojęć? Krótkie historyczne wprowadzenie w odmienne paradygmaty socjologii oraz powrót do niektórych znanych już wcześniej rozwiązań czy pojęć powoduje, że zasadne staje się pytanie o charakter tego rozwoju, czy nie jest to zatem powrót do pojęć i rozwiązań już wcześniej znanych. Kiedyś analizowano społeczeństwo jako wspólnotę i mówiono o społeczeństwie obywatelskim (teraz mówimy o tym, używając pojęcia „kapitał społeczny”). Przy takim ujęciu pozostawało-

by jednak do ustalenia, czy powracamy do tego samego miejsca, czy też jest to powrót na wyższym poziomie rozwojowym, jak w dialektyce heglowskiej, a jeśli na wyższym poziomie to: czy jest to tylko powrót do analizy na wyższym poziomie, czy to społeczeństwo osiągnęło wyższy poziom rozwojowy, za czym nadaża nauka, jaką jest socjologia. Zatem czy zmiana podlega społeczeństwo, czy paradygmat socjologii.

Kolejna moja uwaga ma charakter pytania, które może zabrzmieć nieco zaskakująco w kontekście tej prezentacji oraz dotychczasowej dyskusji. Czy jest może jakieś miejsce w tej koncepcji dla zagubionej i „zaciemnionej” idei umowy społecznej, zwanej czasami kontraktem społecznym? Jeśli bowiem mówimy o przestrzeni międzyludzkiej, to rodzi się pytanie o jej źródło lub sposób jej istnienia.

I ostatnia uwaga. Pozwolę sobie nie zgodzić się z profesorem Mikułowskim-Pomorskim w dwóch kwestiach, po pierwsze wydaje mi się, że „doświetlenie” podejmowanej problematyki za pomocą metafory poetyckiej jest niezwykle cenne i bałabym się „wygnania poetów z naszej rzeczywistości”. Po drugie, w moim odczuciu istnieje duża zbieżność pomiędzy prezentacją i koreferatem profesora Czapińskiego, pomimo zarysowujących się odmiennych podejść. To, co łączy obie propozycje, to kwestia kapitału społecznego, choć profesor Sztompka przypisuje temu zjawisku o wiele większe znaczenie, podczas kiedy profesor Czapiński jest mocno w tej kwestii wstrzemięźliwy. Jeśli chodzi o dane zaprezentowane przez profesora Czapińskiego dotyczące słabości kapitału społecznego w Polsce, mogę je potwierdzić z perspektywy osoby zajmującej się etyką biznesu. Nie ukrywam jednak, iż moja wizja rozwoju naszego społeczeństwa jest bardziej optymistyczna.

Profesor Grażyna Skąpska, Uniwersytet Jagielloński: Mam dwie uwagi dotyczące referatów, szczególnie pana profesora Sztompki i pana profesora Czapińskiego; ponadto, ogólnie chciałabym na pewną rzecz zwrócić uwagę. Pierwsza uwaga dotyczy koncepcji przestrzeni. Otóż posługując się rzeczywiście dokonaniem innych nauk, trudno oddzielić przestrzeń od czasu. A zatem przestrzeń, zwłaszcza przestrzeń społeczna, przestrzeń socjologiczna, ma zawsze pewien aspekt czasowy, jest to zawsze przestrzeń

połączona z czasem, czasoprzestrzeń. To oczywiście bardzo abstrakcyjne i ogólne stwierdzenie. Konkretyzuje się ono w konkretnych społecznościach, tak że bardzo trudno jest przytaczać dane socjologiczne, czy też dane, które przytoczył pan profesor Czapiński, dotyczące na przykład tych rozmaitych uwarunkowań kapitału społecznego, abstrahując od kontekstu czasowego, czyli tej konkretnej przestrzeni historyczno-społecznej, którą analizujemy. W związku z tym bardzo jest ważne to, że zawsze, jako społeczeństwo, jesteśmy specyficzni, kontekstowo uwarunkowani i wszelkie porównania społeczeństwa polskiego z wszelkimi innymi społeczeństwami, zwłaszcza jeżeli chodzi o poziom zaufania, wymagają tego dodatku, jakim jest konkretna sytuacja, czas, w jakim dane wydarzenia, procesy społeczne, zjawiska, mają miejsce, a także czas, jaki upłynął, a zatem historia. Pan profesor zresztą nawiązał do kwestii czasu, mówiąc o stawianiu się, pulsowaniu. Są to dość ogólne stwierdzenia – znajdują one jednak swój konkretny wymiar oraz wyraz w konkretnym społeczeństwie.

Uwaga druga też dotyczy ogólnej rzeczy – tym razem związanej z badaniami socjologicznymi. Mianowicie my posługujemy się – badając na przykład zaufanie społeczne – standaryzowanymi miarami, standaryzowanymi pytaniami. Pytania te jednak w jakiś sposób odzwierciedlają nasze obrazy rzeczywistości społecznej, z drugiej strony, rzeczywistość tę współkształtują. Niekiedy mówi się tu o podwójnej hermeneutyce. A zatem na socjologach spoczywa wielka odpowiedzialność społeczna. Trzeba sobie zdać sprawę, że pytania te też powstają w konkretnym miejscu i czasie, konkretnej przestrzeni kulturowo-historycznej, na ogół w Stanach Zjednoczonych albo w Europie Zachodniej. W związku z tym one chwytają pewne specyficzne dla tamtych społeczeństw właściwości i cechy oraz specyficzne dla socjologów zachodnich obrazy społeczeństw i rzeczywistości społecznej. W tym sensie my, socjologowie, konstruujemy rzeczywistość za pomocą naszych idei zawartych w standaryzowanych pytaniach badawczych. Konstruujemy rzeczywistość również wtedy, gdy zadajemy pytania, które nie powstały w tej rzeczywistości. Tak się dzieje na przykład z testami IQ mierzącymi inteligencję. Okazuje się, że to nie są dobre miary we wszystkich kul-

turach. Myślę, że tym bardziej można odnieść to twierdzenie do bardziej złożonych, kompleksowych i wieloczynnikowo uwarunkowanych przedmiotów badań rzeczy jak zaufanie społeczne. Istnieje tutaj niebezpieczeństwo, iż pewne aspekty rzeczywistości zdefiniujemy w języku, który być może nie jest w stu procentach adekwatny do rzeczywistości badanej za pomocą tych pytań, ponieważ rzeczywistość została w nich zredukowana do tych aspektów, jakie były ważne dla badacza.

Bardzo dobrym przykładem takiego skomplikowanego, wielowymiarowego zjawiska, które wymaga wrażliwości badawczej na kontekst, na wspomnianą czasoprzestrzeń, jest kultura polityczna. Często, na podstawie przeprowadzonych badań, szczególnie badań zagranicznych autorów, niekiedy znakomitych, ale niemających żadnych związków z Polską, formułowane są niezwykle wartościujące twierdzenia o niskim poziomie kultury politycznej w Polsce. W odniesieniu do pewnych wymiarów i pewnych definicji kultury politycznej – np. uczestnictwa w wyborach, czy poziomu zaufania do parlamentu i rządu, które były podstawą operacyjnych definicji i zadawanych w oparciu o te definicje pytań – twierdzenia te są prawdziwe. Nie uwzględniają one jednak pewnych specyficznych cech i właściwości kultury politycznej społeczeństwa polskiego, których rezultatem było pokojowe przeprowadzenie fundamentalnych przemian czy zjawisko rewolucji samoograniczającej się; nie biorą pod uwagę rozsądku społeczeństwa, który towarzyszył tym wszystkim przemianom, niespodziewanie pragmatycznego podejścia tego społeczeństwa do wielkich celów. Po prostu, twierdzenia o niskim poziomie kultury politycznej są formułowane na podstawie definicji nie w pełni adekwatnych do analizy tej rzeczywistości społeczeństwa polskiego, definicji nieuwzględniających jakichś kontekstowo ważnych aspektów badanego zjawiska. Te same zastrzeżenia można, jak mi się wydaje, sformułować w odniesieniu do zaufania społecznego. Dziękuję bardzo.

Profesor Anna Karwińska. Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie: Ja mam trochę krótsze pytanie. Zaniepokoiła mnie w referacie pana profesora Sztompki kwestia statusu zajmowanego w tej przestrzeni międzyludzkiej przez jed-

nostkę. Jeśli ta przestrzeń jest tak płynna, zmieniająca się, to wydaje mi się, że tu się pojawia problem pewnej niepewności tego, kim jestem w tej przestrzeni społecznej, tym bardziej że pan profesor mówił również o tożsamości społecznej, a zatem ten problem określenia swojego miejsca i statusu wydaje mi się tutaj bardzo istotny. Być może jest to tak, na pewno jest tak, że w każdym kontekście ten status mamy inny, ale powinno być tak, że dokonuje się jakiegoś dodawania czy też interpretacji, czegoś, co sprawia, że potrafimy ten status określić.

I druga związana z tym kwestia, czyli problem norm i reguł funkcjonowania w takiej przestrzeni międzyludzkiej. Obserwujemy ekspansję przestrzeni wirtualnej, relacji wirtualnych, wiem, że powstała nawet taka jakaś, netykieta bodajże się to nazywa. Pojawia się pytanie o zasady regulujące funkcjonowanie w tej przestrzeni wirtualnej, kwestię przekraczania granic dawnej wspólnoty w tej przestrzeni międzyludzkiej. A zatem widać nieadekwatność pewnych norm i reguł, które obowiązywały wcześniej, czy w pewnym okresie. Tych dwóch kwestii trochę mi tutaj zabrakło. Dziękuję bardzo.

Profesor Jacek Raciborski, Uniwersytet Warszawski: Bardzo krótko chciałbym się odnieść do głosów pani profesor Skąpskiej i pana profesora Czapińskiego. Otóż kategoria „kapitału społecznego” jest oczywiście bardzo użyteczna, ale chyba przesadzamy z używaniem jej do wyjaśniania wszystkiego, w każdej sytuacji. Teza o tym, że całe zróżnicowanie socjoekonomicznego statusu w społeczeństwach zamożnych tłumaczy kapitał ludzki, a wszystkie różnice międzykrajowe tłumaczy poziom kapitału społecznego, wydaje mi się tyleż elegancka, co upraszczająca. Istnieje bardzo silna zależność od szlaku. Kilka dni temu miałem okazję przeglądać pracę Kazimierza Tarchalskiego *Fiskalizm w dobrych czasach*. Jest w niej oszacowanie dystansu w poziomie rozwoju gospodarczego pomiędzy krajami Europy Zachodniej a Polską w wielu punktach czasowych, poczynając od 1870 r. (uwzględniono terytoria wchodzące w skład obecnego terytorium RP). Dystans ten okazał się bardzo podobny w 2007 r. do dystansu z roku 1870. Nie był on jednak stały. Zdarzały się lata zbliżania się i oddalania. PRL miał dwa okresy zbliżania się, skracania dystansu i dwa okresy oddalania, podobnie

było po 1989 r. Analizy muszą właśnie uwzględnić, i tutaj wprost nawiązuję do tego, co mówiła profesor Skąpska, czynnik czasu i kontekst kulturowy. Zależności, o których mówił profesor Czapiński, okazują się takie silne, tak wiele wyjaśniające, gdyż być może bierzemy pod uwagę zbyt krótki okres. Przy tym warto pamiętać o tym, że stale musimy wyjaśniać, jak ten kapitał społeczny jest produkowany. Ja oczywiście znam tę tezę, że ten kapitał się nie zużywa – im więcej go używamy, tym więcej go mamy, ale w jego wytwarzaniu uczestniczy bardzo wiele czynników, w tym materialnych i implementowanych od góry, np. przez państwo. Ten proces historyczny musi być jakoś analizowany. Budzą więc mój opór takie niewątpliwie spektakularne wyjaśnienia zróżnicowań między- i wewnątrz krajowych za pomocą jakiegoś jednego czy dwóch czynników. Dziękuję za uwagę.

Profesor Jarosław Górniak, Uniwersytet Jagielloński: (...) Mnie bardziej fascynuje pewne napięcie teoretyczne, mianowicie ta trzecia socjologia. Postrzegam ją trochę jako swoistą heglowską syntezę: jest to próba zderzenia socjologii działania z analizą form uspołecznienia. Z jednej strony analiza działań, której szczytową formę stanowiła w pewnym momencie prakseologia szkoły austriackiej, rozwinięta jednak w dość wąskim fragmencie tak zwanej katalaktyki, czyli ekonomii w wydaniu austriackim, a z drugiej strony analiza ograniczających warunkowań ze strony form uspołecznienia czy instytucji. Można powiedzieć, że jesteśmy właściwie znów na początku drogi. To jest taki skok wstecz do Simmla, może trochę do Wiesego właśnie, jak to podjął pan profesor Mikułowski-Pomorski. Bo musimy się zastanowić nad tym, czy jesteśmy w stanie stworzyć taką koncepcję hipotetyczno-dedukcyjną, która będzie pokazywała, jakie są relacje pomiędzy elementarnymi formami życia społecznego, jakie są reguły składania się form elementarnych w bardziej skomplikowane i w jaki sposób tworzą one struktury ograniczające, które, można powiedzieć, nakładają się na wybory dokonywane przez działających na podstawie struktury preferencji bądź kształtują w ogóle strukturę preferencji. I to jest moim zdaniem początek, fundament socjologii. My, socjologowie, jesteśmy po okresie pewnego kryzysu swojej dyscypliny, a może ciągle w je-

go trakcie. Jesteśmy po okresie fascynacji opisem megaprocesów, opartym na jakiejś historiozofii albo na ekstrapolacji historycznych trendów, zakończonej kryzysem wynikającym między innymi z, jak się okazało, nieprzewidywalności kryzysów. Nie jest też satysfakcjonująca koncentracja na socjograficznej rejestracji nawet fascynujących zjawisk społecznych, czy to życia codziennego, czy czegoś wyjątkowego, jak rewolucje czy kryzysy. Potrzebujemy teorii socjologicznej wyjaśniającej te zjawiska. Stoimy zatem wobec prawdziwego wyzwania: konieczności stworzenia rzeczywiście trzeciej socjologii. Dziękuję.

Profesor Jerzy Hausner, Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie: Ja odczytuję wystąpienie pana profesora jako zaproponowanie innej perspektywy spojrzenia na społeczeństwo. To ujęcie teoretyczne, ale poza tym, że na pewno ma ono moc wyjaśniającą, świeżą i nową, moim zdaniem ta perspektywa może być przydatna do projektowania działań, do formowania projektów i programów. Potrzebna jest po to, by rozwiązywać problemy, inne perspektywy takiej mocy, takiej przydatności już dzisiaj nie posiadają.

Pan profesor skrótowo wspominał wczorajszą inaugurację Baracka Obamy i związek między tym widzeniem zachowań w przestrzeni społecznej a pewnymi zachowaniami w polityce. To było skrótowe, ale sygnalizowało nie to, że dwa miliony ludzi poszło, że Amerykanie rozwiązali pewną sytuację. Przecież to była wielka polityczna zmiana, a nie spowodowała żadnego konfliktu. Przecież to jest niewiarygodne, co się stało w Ameryce, z tego punktu widzenia.

Pan profesor Janusz Czapiński bardzo przekonująco, mogę się nie zgadzać ze sposobem interpretacji danych, ale przekonująco pokazał, jak to spojrzenie może nam pozwolić inaczej zdefiniować czynniki rozwoju społecznego. Co do tego, jak one się układają, to jest inna sprawa, można zawsze dyskutować, ale niewątpliwie pokazuje, że siłę rozwoju społeczno-gospodarczego trzeba wiązać z tym sposobem patrzenia na społeczeństwo. Ale niech państwo popatrzą na problem polityki społecznej, wykluczenia społecznego. Czy można dzisiaj zaprojektować rozsądną politykę przeciwstawiania się wykluczeniu społecznemu bez takiego spojrzenia na społeczeństwo? Czy można zaproponować na przykład rozsądną perspektywę budowania mikro-

konkurencyjności przedsiębiorstw bez takiego spojrzenia na społeczeństwo i na przedsiębiorców? Moim zdaniem jest tutaj duża siła, pokazująca możliwość nie tylko interpretowania polityki, ale także projektowania polityki. Dlatego ja widzę bardzo silny związek pomiędzy naszą dyscypliną – zarządzaniem publicznym i jej różnymi rozgałęzieniami a taką właśnie perspektywą socjologiczną.

Gdzie indziej mam wątpliwość, i tę wątpliwość już wiele osób podnosiło. Może najbardziej wprost Mira Marody i Ania Karwińska. Ja mam wrażenie, że w tym istnieje pewien punkt słaby, a mianowicie: jak możemy sobie wyobrazić niestanną zmienność bez trwałości? Co w pewnym momencie powoduje, że to jeszcze jest społeczeństwo, że to jeszcze jest coś, o czym możemy powiedzieć, że ma elementy spójne? Gdzie są te elementy trwałości i to również trwałości w czasie, bo to się dzieje w czasie. I tutaj chciałbym przywołać takie pojęcie, którym posługują się ekonomiści, zresztą nie tylko ekonomiści, bo Wolfgang Streeck jest socjologiem, ale to socjolog zajmujący się organizacjami gospodarczymi. On użył określenia *beneficial constraint*, czyli mówił o ograniczeniach, które z punktu widzenia rozwoju stają się korzystne. To znaczy, że jeżeli ten cały mechanizm jest korzystny dla rozwoju, to musi mieć również pewne ograniczenia. Pytanie, gdzie one w tej koncepcji są? Ale te ograniczenia muszą być, można ich szukać tam w koncepcji człowieka, można ich szukać w statusie, można ich szukać w jeszcze inny sposób: w tej normatywnej części, w ideach. Jedno jest pewne: muszą być elementy trwałości, bo inaczej to nie mogłoby działać w ten sposób, w jaki ja chciałbym to widzieć, że to działa, a moim zdaniem działa.

No i teraz pan profesor oczywiście...

Profesor Piotr Sztompka: To jest zadanie ogromnie ambitne, żeby państwu odpowiedzieć w 20 minut na dwadzieścia kilka ważnych i wielkich filozoficznych problemów, które państwo łaskawie podjęli. Będę więc się starał może coś rozwinąć bardziej syntetycznego, a nie iść tak po kolei dokładnie do tych wszystkich pytań, więc niech państwo nie będą zawiedzeni.

Dwie wielkie sprawy, które zostały podniesione i które są oczywiście dalekimi od rozstrzygnięcia w mojej wizji czy koncepcji. Pierwsza

z nich to kwestia zasygnalizowana przez panią profesor Marody, mianowicie, że nie wszystko zależy od tych relacji, do tego zresztą bardzo wyraźnie nawiązuje profesor Hausner w swoim pytaniu o warunki stałe, bardziej stałe, czy trwalsze. To jest pytanie, w jakiej mierze każda z tych relacji w przestrzeni międzyludzkiej została już zawiązana w obrębie jakiegoś kontekstu, mówiąc potocznie, a mówiąc uczenie – struktury. Mianowicie, w jakiej mierze, nawiązując do jakiegokolwiek formy tych międzyludzkich relacji, o których mówiłem, obracamy się w świecie już istniejących idei, już istniejących symboli, już istniejących norm, reguł, wzorów i tych elementów, które ja łącznie lubię nazywać strukturą społeczną. W takim teoretycznym sensie wyróżniam właśnie ową strukturę idealną, czyli strukturę podzielanych przekonań, wizji społeczeństwa, wizji samego siebie, wizji relacji międzyludzkich, tego, co pani studentka właśnie pokazywała, mówiąc o swoim narzeczeństwie. To jest ten świat, w którym istniejemy, świat struktury zewnętrznej, kiedyś tworzonej przez nas, ale częściowo przekazanej nam przez przodków. Uczyliśmy się jej, ona nas właśnie ogranicza w tych naszych międzyludzkich relacjach, bo ona mówi, jak te relacje powinny wyglądać, jak w naszych czasach wyglądają, jak jest dobrze w niektóre wchodzić, a których unikać. To są te elementy struktury idealnej: co się wiąże bardzo ściśle ze strukturą normatywną, wzorców relacji, co to znaczy przyjaźń w XIX w., co to znaczy dzisiaj, co to znaczyła miłość romantyczna, co to znaczy seks. To są normatywne sprawy, które uległy historycznej, daleko idącej zmianie, aczkolwiek te zmiany są daleko wolniejsze i w związku z tym strukturalne ograniczenia są znacznie bardziej trwałe niż działania przez ludzi samych podejmowane w ich przestrzeni. Są to działania tworzące rozmaitego typu więzi, nawiązujące do rozmaitego typu formy zaufania, lojalności, solidarności, wzajemności, które tworzą kwintesencję mojego obszaru przestrzeni międzyludzkiej. A więc struktury, ale także struktury w sensie ściśle ekonomicznym, struktury dystrybucji szans, czyli nierówności społecznych, również należące do tego obszaru, jakby zewnętrznego, w którym obraca się człowiek razem z innymi ludźmi.

Ja w pełni akceptuję to rozwinięcie. To rozwinięcie bardzo odpowiada mojemu myśleniu, któ-

re zresztą w 1991 roku przedstawiłem w książce *Social Becoming*, gdzie cały czas wskazuję na to, że ta realna prawda społeczna, to, co się naprawdę dzieje, zostało ukształtowane z dwóch stron. Z jednej strony jest ukształtowane właśnie przez struktury, ale z drugiej strony, przez to, co stało się dla państwa drugim wielkim problemem: przez ludzi. To znaczy przez działające podmioty, przez tych aktorów, przez jednostki, które w tym wszystkim uczestniczą.

I to jest drugie ogromnie ważne pytanie o autonomię, o wolę, o wolność, o indywidualizm, o osobność jednostki, o osobę właśnie w tym sensie filozoficznym. W jakiej mierze tutaj istnieje drugi czynnik, który dopiero razem z tymi strukturami definiuje to, co nazywamy tym realnym działaniem ludzi w przestrzeni międzyludzkiej, tym *praxis*, jakby to można było nazwać, tym, co się dzieje w zdarzeniach społecznych, które obserwujemy, czy to w małej skali, czy to w wielkiej.

Otóż to jest wielkie pytanie. Oczywiście pół filozofii na tym pytaniu się opiera i starało się na to pytanie odpowiedzieć. Ja tylko zasygnalizuję, jak ja bym próbował interpretować pojęcie autonomii, wolnej woli, itd. w tym obszarze, w tej wizji, w tym spojrzeniu. Mianowicie ja bym to interpretował jako właśnie podmiotowy, autonomiczny w pewnym sensie czynnik wyboru i decyzji, jak swoją przestrzeń międzyludzką kształtuję. Z kim mi po drodze, a z kim nie, jak próbuję otworzyć się na innych ludzi albo zamknąć, jak staram się włączyć do mojej przestrzeni ludzi godnych, a jak stworzyć wspólnotę mafijną jedynie ze związków, które polegają na czystej interesowności. Tu jest mój absolutnie indywidualny i autonomiczny wybór. Oczywiście ten wybór ograniczają z drugiej strony te szanse, jakie mam, struktura otaczających mnie ludzi, to, z kim mogę nawiązać takie czy inne kontakty itd. Ale tu się kryje moim zdaniem ta bardzo dla mnie ważna forma wolności. Ja nie neguję, że po prostu mogą być zupełnie inne i bardzo istotne formy tej indywidualności, tej wolności, że to takie socjologiczne przerysowanie, że człowiek to jest tylko ten węzełek w tej sieci międzyludzkich układów. No nie, oczywiście, że nie tylko biologiczna jego osoba, ale także osoba, którą my metafizycznie określamy mianem duszy, czy mianem osoby w sensie absolutnie niepowta-

rzalnego indywiduum. Ono jest u mnie też niepowtarzalne, ale w innym sensie.

Mówiłem o tym społecznym, indywidualnym, unikalnym świecie, ale tworzenie tego świata to nie jest determinacja, to nie tak, że ten świat nam się narzuca i my zostaliśmy przez niego zdeterminowani. To jest świat, który sami sobie wybieramy. Sami sobie wybieramy to otoczenie. Ono z kolei zwrótnie nas formuje, nas kształtuje, nadaje nam idee tożsamości, osobowości. Myślę, że to się da w pewnym sensie uwzględnić w ramach teorii człowieka, jako jakiś aspekt teorii rozwoju człowieka, który dla mnie jako socjologa i dla takiej wizji jest ważny. Nie neguję oczywiście innych istotnych filozoficznie aspektów. Jeśli chodzi o samą filozofię, to ja tutaj, jako nie-filozof szedłem tropem pewnych dialogicznych koncepcji dialogu, w tej wersji, w jakiej opowiadał o tym książkę profesor Józef Tischner, dla mnie wielki autorytet w takiej właśnie dziedzinie. Przekazywał on idee Milinasa, Gubera czy innych filozofów w sposób, który dla nieprofesjonalisty był bardzo przekonujący. Jak zobaczę państwo tutaj, ja nie sięgam wprost do głębi filozoficznej. Postaram się te braki uzupełnić.

Co do innych głębi, to znaczy tych poetyckich, to ja zawsze miałem wrażenie, że poznanie naukowe, a zwłaszcza humanistyczne i społeczne jest o krok tylko od innych form poznania: literackiego, poetyckiego, oczywiście filozoficznego. Innych form, innych sposobów poznania i dla mnie zawsze socjologii bardzo wiele można było odnaleźć we wspaniałej literaturze, w powieściach, zwłaszcza tych epickich, tych takich społecznie osadzonych, u Zoli, u Balzaca, u kogoś takiego. Tam ta socjologia jest. Podobnie odkrywam to, dopiero teraz, muszę przyznać szczerze, u poetów. Ja nigdy ich nie lubiłem, nigdy nie rozumiałem, teraz zaczynam czytać poezję. I tam nagle znajduję, że moje intuicje, takie z perspektywy socjologa profesjonalnego, nagle się zderzają z tymi zupełnie inną drogą uzyskiwanymi sposobami poznania społecznego. Ja uważam, że poezją jest także jedna, podobnie jak malarstwo, podobnie jak inne dziedziny sztuki i nawet jak muzyka, pewną dziedziną ludzkiego poznania. Poznawania świata, organizowania świata dla siebie. Być może dlatego ludzie od początku swojego istnienia malowali coś w grotach, zanim zaczęli uprawiać socjologię. Poznawali świat

tą metodą. Więc takie są moje obecne przemyślenia, w związku z czym ja coraz więcej sięgam i przygotowałem więcej cytatów. Ci, którzy będą chcieli mnie czytać, znajdą coraz więcej cytatów, nie tylko z Herberta, jak w tym artykule, ale i innych poetów.

Teraz ogromnie istotna sprawa tej właśnie ciągłości, historyczności, ja mówiłem o tej zmienności przestrzeni międzyludzkiej w wymiarze personalnym, indywidualnym, która przez naszą biografie nieustannie się zmienia jak w tym korowodzie. Co jest tu trwałe? Ja myślę, że właśnie te podmiotowe okoliczności i że niezależnie od tego, jak zmienia się nasz korowód społeczny, to jednak jakieś cechy tego korowodu, narzucone przez nasze wybory i decyzje są podobne. To znaczy, świat tych „innych”, mimo że różny indywidualnie, bo osoby się zmieniają, jest jednak w jakiejś ciągłości, dzięki naszym podmiotowym możliwościom wyboru. Świat, notabene można by jeszcze dalej taką metaforę pociągnąć, otóż ten świat międzyludzki na przykład dla socjologa czy każdego, kto uprawia naukę, to nie tylko świat kolegów z katedry, to nie tylko świat tych, których na kongresach gdzieś spotyka, ale to jest także świat tych wszystkich, których cytuję w swoich książkach, przeczytał, wybrał do lektury, którzy na niego jakoś oddziałali. I jeżeli popatrzymy na przykład na karierę jakiegoś uczonego, popatrzymy na jego świat ludzi, którym zawdzięcza swoje myśli. Bo każdy z nas, jak mówił mój mistrz Robert Merton, stoi na ramionach olbrzymów, ale sam jest karzełkiem, tyle że widzi więcej, bo stanął wysoko. Więc zbiór tych olbrzymów, na których ramionach się wznosimy, dla każdego jest dość ciągły, mimo że przybywają lektury, inne odpadają, ale tu istnieje ta ciągłość w prywatnym wymiarze, ale w wymiarze społecznym to jest ta ciągłość struktur. To ciągłość tych historycznych reguł, tych kulturowych, można innym językiem powiedzieć idealnych, normatywnych i aksjologicznych treści, które są przekazywane tak jak fakty społeczne, ponieważ dzięki temu, że są podzielane w danej zbiorowości, że są efektem jakichś historycznych przecieżeń zaszczości. Sprawiają one, że jedno społeczeństwo będzie miało temperament romantyczny, a drugie społeczeństwo pragmatyczny, że jedno będzie chciało iść na barykady, a drugie będzie starało się nie wybić jednej szyby

w oknie w czasie wielkiej rewolucji, to właśnie o czym pani profesor wspominała. To są rzeczy, które wynikają z ciągłości owych struktur kulturowych, z idealnych, normatywnych, oczywiście także i materialnych, bo była o tym mowa wiele razy, ja z tym w pełni bym się zgadzał.

Takie sprawy drobne, ale i wymagające wyjaśnienia. Kategorię życia codziennego, tak jak jej używam, opisałem w 40-stronicowym wstępie do readera o socjologii życia codziennego, wydanego przez Znak. Dla mnie kategoria życia codziennego obejmuje to, co potocznie nazywamy także życiem odświętnym. Staram się to bardzo wyraźnie wyeksplikować, że to nie jest cezura. Życie odświętne i to wczoraj, tych ludzi w Waszyngtonie i tych w kościołach, i tych na mszach świętych z udziałem Ojca Świętego na Błoniach, to też życie codzienne. To jest to życie, w którym zostajemy uwikłani w swoim doświadczeniu bezpośrednim. Unikam tutaj mówienia o życiu codziennym, bo to jest zupełnie osobna dziedzina. Chciałem tylko wyjaśnić, zresztą w tym readerze są teksty o religii, o sacrum w Weberowskim, Durkheimowskim znaczeniu, na równi z tekstami o profanum, takim najbardziej elementarnym. Więc chciałem tę sprawę wyjaśnić.

Kwestia pojęcia postępu, skompromitowanego, który gdzieś tam u mnie powraca. Ono powraca dlatego, że wydaje mi się jednak, iż wartościowanie zarówno w wymiarze historycznym, jak i w porównawczym, jest uprawnione. Możemy mówić, że jedne społeczeństwa są pod jakimś względem lepsze, a drugie gorsze, że jedna epoka była pod jakimś względem lepsza od drugiej epoki, że to może być uprawnione. Natomiast trzeba precyzować kryteria, pod jakim mianowicie względem. Tutaj bardzo różne w dzisiejszej rozmowie kryteria były wymieniane. Na przykład właśnie to kryterium szczęścia, oczywiście to jest jedno z kryteriów. To dla mnie jedno z niezwykle ważnych kryteriów postępu. I jak mówiłem o potrzebie kapitału społecznego, to na pierwszym miejscu wymieniłem to właśnie, że posiadanie bogatego kapitału społecznego daje ludziom poczucie egzystencjalnej pewności, pewnego zakorzenienia itd., które jest bardzo blisko tej kategorii osobistego zadowolenia z życia, dobrostanu, szczęścia, jakkolwiek byśmy to nazwali. Ale są i inne oczywiście kryteria. Kryterium postępu, najważniejsze dla mnie, sta-

rałem się uchwycić już w tej wspomnianej wcześniej książce z 1991 roku. Ciągłe bym tak twierdził, że to kryterium zdolności społeczeństwa do podnoszenia się, jak mówią Amerykanie, za własne polewki, czyli robienia rzeczy niemożliwych, w sytuacjach zdawałoby się beznadziejnych, dzięki mobilizacji społecznych sił, dzięki możliwości zbudowania nawet ad hoc mocnego kapitału społecznego, który się uruchamia dla przekroczenia barier, dla pójścia do przodu. Ja to nazywam właśnie podmiotowością. Dla mnie kryterium postępu to jest podmiotowość społeczeństwa. W jakiej mierze może ono przekroczyć wszelkie bariery, w tym własne historyczne, w tym także te odziedziczone po mniej lub bardziej nieszczęśliwej przeszłości. Może są inne kryteria postępu, ale sama kategoria postępu ma dla mnie jak najbardziej uprawnione znaczenie.

Był taki wątek bardzo ciekawy, o tym, w jakiej mierze kapitał społeczny jest dobry. Bardzo słuszne spostrzeżenia dwojakiego rodzaju. Pan profesor Czapiński wspominał o tym, że bywają różne kapitały społeczne, *bonding* i *bridging*, że to bardzo istotne. Ja, pisząc książkę o zaufaniu, bardzo mocno podkreślałem rolę tego zaufania, nazwijmy je uogólnionego, czyli zaufania do ludzi w ogóle, nawet nieznanomych, z którymi się jeszcze nie znamy, nie mamy żadnej pewności, nic o nich właściwie nie wiemy, ale próbujemy jednak założyć, że oni są wiarygodni i godni naszego zaufania, bo na próbę warto to robić. Otóż podobnie jest z tym kapitałem krzyżującym czy pomostowym i kapitałem tym, który jedynie ma charakter ograniczony do rodziny, do znajomych, do kliki, czy do jakiegoś zamkniętego układu. Edward Bending mówił o amoralnym familizmie, czyli taka rodzinność, ale skierowana przeciw innym. Po to jesteśmy razem, aby innym dać szkołę. Partie polityczne niestety bardzo często uzyskują taką formułę amoralnego familizmu, podobnie jak mafie i inne znane instytucje tego rodzaju. Otóż na pewno istnieje kapitał społeczny lepszy i gorszy, to wymaga znów wartościowania, to wymaga tej aksjologii, powiedzenia, który kapitał jest godny rozbudowywania, wspierania, a który nie. I uważam, że bardzo słusznie pan profesor zwrócił uwagę właśnie na *bridging*, otwierający na innych ludzi. Dla mnie to jest właśnie taki kapitał. Nie traktuje on innych jak wrogów, jak obrzydliwych obcych, od

których należy się izolować, tylko próbuje wyszukać sąsiadów, czyli znaleźć inność wartościową, od której możemy się czegoś nauczyć czy coś uzyskać. Otwieranie się wydaje mi się swego rodzaju tą lepszą formą kapitału społecznego.

Było także inne pytanie, czy ta społeczna charakterystyka człowieka, nieustannie uwikłanego z relacje z innymi, nie odbiera czasem czegoś, co może historycznie być akurat ważne. Była tutaj mowa o implozji, ale ja bym to sobie tłumaczył tak: czy na przykład w tych naszych czasach, coraz to rozciągniętej sieci międzyludzkich relacji, coraz większego zakresu, zasięgu komunikacji, interakcji itd., czy jest jeszcze miejsce na taką wartość jak prywatność, samotność wręcz jako wartość. Co w pewnych sytuacjach życiowych wydaje się ważne, by być właśnie poza zasięgiem, odłączonym od sieci, mówiąc oczywiście w metaforze, odłączonym od tych wszystkich komórek. A mówiąc po prostu – zamkniętym w jakiejś własnej refleksji, w jakiejś własnej głębi, własnego myślenia, bez szukania bez przerwy bodźców ze strony innych ludzi w społeczeństwie. To jest wielkie pytanie o miejsce jednostki w naszych czasach, przenikniętych tą poszerzającą się coraz bardziej siecią. No właśnie – *Samotność w sieci* – przytoczę tytuł książki, która była bestsellerem. Ja też nie potrafię rozwiązać szalenie ważnego i ciekawego problemu, który pan podjął. Na końcu referatu nie stroniłem od wypowiedzania własnych opinii na ten temat. I tam mówiłem, że są koszty i są zyski. Zysk widzę w tym rozszerzaniu sieci, w tej komunikacji, ale i widzę utratę sensu, treści, właśnie w wielu punktach jakiejś zubożenie tego bogactwa relacji międzyludzkich, które wydaje się dzisiaj towarzyszyć tej ekspansji natury technologicznej.

Ja pana profesora od dawna witałem w klubie socjologów, więc bardzo mi miło, że mnie pan włączył do klubu psychologii społecznej, dlatego, że ja w ogóle nie wierzę w te podziały, od początku do końca. Ja jestem socjologiem, bo tak mnie profesjonalnie przydzieliła moja akademicka kariera i wykształcenie i to, że jestem w Instytucji Socjologii, że jeszcze jeżdżę na kongresy socjologiczne, ale naprawdę to wszystko są zaszczości XIX-wiecznych podziałów nauki, obecnie kompletnie pozbawionych sensu. Nauka może się rozwijać tylko wtedy, jeśli się kieruje problemami, a problemy nigdy nie są problemami dyscy-

plin. Problemy są zawsze z natury swojej szersze niż jakakolwiek dyscyplina. W związku z tym dla mnie zupełnie naturalne jest to właśnie, że próbuję sobie po swojemu wchodzić na pański teren, tak jak pan wchodzi na nasz, i to proszę potraktować jako dobrą wskazówkę na przyszłość.

O samym pojęciu społeczeństwa – profesor Mikułowski-Pomorski się odwoływał do Pawła Rybickiego, którego również słuchałem jak i pan profesor na wykładach. Jeden z tych z mojej właśnie przestrzeni międzyludzkiej i Pańskiej, ich na pewno traktujemy, jakby powiedział Mead, jako naszych *significant others*. Może nie ma ich już wśród nas, ale tutaj rzeczywiście to jest ten wielki problem, czy społeczeństwa można w ogóle umieszczać w tych takich ramach, jak polskie, francuskie, niemieckie, może europejskie, za czasów profesora Rybickiego jeszcze to globalne nie było tak bardzo widoczne. Mnie się wydaje, że jak ktoś tu mówił o kole i o powrocie, to niezbędny jest powrót, w pewnej mierze dzięki globalizacji, dzięki także takim autorom jak Ulrich Beck, którzy walczą z tak zwanym nacjonalizmem metodologicznym, czyli z tym, że jak my mówimy społeczeństwo, to myślimy Polska, a jak mówi Francuz, to myśli Francja. Musimy jak kołem wrócić do tego pojęcia społeczeństwa, które uprawiali XIX-wieczni klasycy, czyli społeczeństwo nie jako byt pewien konkretny, określony, tylko jako pewien rodzaj bytu w filozoficznym sensie. Swoista forma bytu istniejąca na obszarze naszego globu wszędzie tam, gdzie ludzie ze sobą tworzą wspólnoty, współpracują, kooperują, osiedlają się, tworzą grupy, tworzą różnego typu społeczne całości, między innymi państwa narodowe. To, co jest historyczną oczywiście sprawą albo zaszczością pewnego okresu historycznego, dziś może przechodzącą w coś innego. Tu pojawia się osobny wielki temat, w jakiej mierze te narodowe czy lokalne, czy jakkolwiek inaczej określone solidarności przetrwają globalizację. W moim przekonaniu przetrwają, ale to jest na inny odczyt i na inny temat. Więc myślę, że musimy kołem wrócić do twórców socjologii. Ktoś tu rzucił takie niebywale dla mnie ważne spostrzeżenie, że to początek jakiegoś nowego rozdziału w kształtowaniu teorii socjologicznej. Ale to właśnie jest koło, powrót do pewnych właśnie klasycznych idei, stworzonych przez moich *significant others*. Wśród tych najbardziej znaczą-

cych byli właśnie klasycy XIX-wiecznej socjologii i twórcy połowy XX wieku. Właśnie wtedy były formułowane te podstawowe teorie.

Historyzm – oczywiście w pełni tutaj zgadzam się z refleksjami, które dotyczyły historyzmu, wszelkich spraw ludzkich, a w tym i przestrzeni międzyludzkiej.

Przepraszam państwa, że zapewne pominąłem niektóre wątki, ale zapisałem sobie wie-

le państwa refleksji i z pewnością je będę brał pod uwagę, a w jakimś sensie i wszyscy państwo, nie tylko ci, którzy zabierali głos, także weszli do mojej przestrzeni międzyludzkiej i za to państwu bardzo serdecznie dziękuję.

Profesor Jerzy Hausner: Proszę państwa, pozostaje mi bardzo serdecznie podziękować panu profesorowi i naszym dwojgu koreferentom.